

Żony ze Stepford

Ira Levin



calibre 0.9.27

IRA LEVIN

ŻONY ZE STEPFORD

Przełożyła Anna G. Celińska

Rozdział 1.

Mistrzyni Ceremonii mogła mieć około sześćdziesiątki, ale pracowała z młodzieńczą werwą (miała rude włosy, czerwone usta i jasnożółtą sukienkę). Błyskając zębami i mrugając do

Joanny, powiedziała:

- Bardzo się pani spodoba w tym miasteczku z miłymi ludźmi. Nie mogła pani dokonać lepszego wyboru.

Miała olbrzymią brązową, skórzaną torbę, z której wybierała dla

Joanny torebki z proszkami do robienia napojów oraz mieszanki

zup, małe pudełko z nieszkodliwymi dla środowiska

detergentami, bloczek z kuponami premiovymi, przyjmowanymi

w dwudziestu dwu lokalnych sklepach, dwa kawalki mydła,

paczkę perfumowanych podpasek...

- Dość, dość - powiedziała Joanna, stojąc w drzwiach z furą rzeczy w rękach. - Starczy, już dosyć. Dziękuję pani.

Mistrzyni Ceremonii położyła flakonik wody kolońskiej na czubku

sterty i zaczęła grzebać w torbie.

- Naprawdę - powiedziała Joanna, a ona wyciągnęła okulary w

różowej oprawie oraz mały notesik w ozdobnej okładce.

- Zbieram informacje o przybyszach - powiedziała uśmiechając się

i włożyła okulary. - Dla *Kroniki*. - Pogrzebała na samym dnie torby i wyciągnęła długopis, który nacisnęła kciukiem z

pomalowanym na czerwono paznokciem.

Joanna powiedziała jej, skąd się z Walterem przeprowadzili, co

robił Walter i w jakiej firmie, podała jej imiona Kim i Pete'a oraz w jakim są wieku, co robiła, zanim się urodzili, i do jakich ona i Walter chodzili szkół. Poruszyła się niecierpliwie, stojąc przed

drzwiami ze stertą rzeczy, podczas gdy Kim i Pete byli poza zasięgiem jej słuchu.

- Czy ma pani jakieś hobby albo jakieś szczególne zainteresowania?

Już miała zaprzeczyć, ale rozmyśliła się: pełna odpowiedź

wydrukowana w lokalnej gazecie może posłużyć takim kobietom

jak ona jako drogowskaz przy zawieraniu nowych znajomości.

Kobiety, które poznała w ciągu ostatnich kilku dni w sąsiedztwie, były miłe i chętne do pomocy, ale wydawały się całkowicie po-chłonięte domowymi obowiązkami. Może kiedy pozna je lepiej,

okaże się, że mają szersze horyzonty, ale na razie można im dać

wskazówkę, a więc:

- Tak, kilka - powiedziała. - Gram w tenisa, kiedy tylko nadarzy się okazja, oraz jestem półprofesjonalnym fotografem...

- Ach tak? - powiedziała kobieta notując.

Joanna uśmiechnęła się: - Pewna agencja zainteresowała się

moimi zdjęciami. Ponadto zajmuję się polityką oraz ruchem

feministycznym. Szczególnie tym ostatnim i to razem z mężem.

- On także? - kobieta spojrzała z zaciekawieniem.

- Tak - odpowiedziała Joanna. - Podobnie jak wielu mężczyzn.

Nie zadała sobie trudu, żeby wyjaśniać, jakie są korzyści dla obu płci, tylko wychyliła głowę na korytarz i nasłuchiwała. Z dużego

pokoju dochodził śmiech z włączonego telewizora, a Pete i Kim

klócili się, ale nie trzeba było jeszcze interweniować. Uśmiechnęła się do Mistrzyni Ceremonii Powitalnej:

- On interesuje się również piłką nożną i żeglarstwem -

powiedziała - oraz kolekcjonuje stare amerykańskie dokumenty

prawne.

To był drogowskaz dla tych, którzy by chcieli poznać Waltera.

Kobieta zapisała to i zamknęła notes.

- To wystarczy, pani Eberhart - powiedziała uśmiechając się i

zdejmując okulary. - Na pewno się tu pani spodoba, a więc

serdecznie witamy w Step-ford. Jeśli będzie pani potrzebowała

jakichkolwiek informacji o tutejszych sklepach i usługach, proszę do mnie zawsze dzwonić.

Numer telefonu ma pani na tym

bločku.

- Dziękuję, chętnie skorzystam - zapewniła Joanna. - I dziękuję za to wszystko.

- Proszę je wypróbować, to dobre produkty! - Kobieta odwróciła się. - Do zobaczenia!

Joanna pożegnała się i patrzyła, jak tamta szła wzdłuż krętej ścieżki do czerwonego, obtłuczonego volkswagena. Nagle w oknach samochodu pojawiły się psy; czarne i brązowe spaniele skakały i szczekały, przyciskając łapki do szyby. Coś białego, poruszającego się za samochodem przykuło uwagę Joanny: po drugiej stronie usianej drzewkami ulicy, w jednym z górnych okien u Claybrooków, biel ponownie się poruszyła, przesuając się z jednej szyby na drugą. Ktoś mył okna. Joanna uśmiechnęła się jakby na wypadek, gdyby Donna Claybrook akurat na nią patrzyła. Biała szmatka obniżyła się, a następnie pojawiła się w sąsiedniej szybie.

Volkswagen z zaskakującym loskotem wyrwał do przodu, a Joanna wycofała się na korytarz i biodrem zatrzasnęła drzwi.

Pete i Kim teraz klócili się znacznie głośniej.

- Ty kupo!

- Au! Przestań!

- Spokój! - krzyknęła Joanna, wyrzucając garściami rzeczy na stół.

- Ona mnie kopie! - wrzasnął Pete, a Kim krzyczała;

- Wcale nie, ty kupo!

- Uspokójcie się - powiedziała Joanna i podeszła do drzwi. Pete leżał na podłodze blisko telewizora, a Kim stała obok z czerwoną buzią, powstrzymując się, żeby go nie kopnąć. Oboje byli jeszcze w piżamach.

- Ona mnie kopnęła dwa razy - poskarżył się Pete, a Kim krzyczała: - Zmieniłeś program! On zmienił program!

- Wcale nie!

- Oglądałam Kota Feliksa!

- Cisza! - rozkazała Joanna. - Ma być absolutna, całkowita cisza.

Spojrzeli na nią, Kim dużymi, niebieskimi oczyma Waltera, a Pete jej własnymi, ciemnymi.

- Pierwsze dotrą do mety! - krzyczał telewizor.

- Bez elektryczności!

- Po pierwsze - siedzisz za blisko telewizora - mówiła Joanna. - Po drugie - wyłącz go, a po trzecie

- oboje się ubierzcie. To coś zielone na zewnątrz to trawa, a to żółte - to piękne słońce.

Pete wstał, wcisnął guzik wyłączając telewizor. Na ekranie

pojawiła się znikająca kropka światła. Kim zaczęła płakać. Joanna westchnęła i weszła do pokoju. Kucnęła, przytuliła Kim i

głaszcząc ją po plecach, całowała miękkie, jedwabiste loki.

- Już dobrze - powiedziała. - Nie chciałabyś pobawić się z tą sympatyczną Allison? Może znów zobaczysz wiewiórkę.

Pete podszedł i wziął do ręki kosmyk jej włosów. Spojrzała na niego i powiedziała:

- Nie zmieniaj jej więcej programów.
- W porządku - odparł, owijając jej włosy wokół palca.
- A ty nie kop - zwróciła się do Kim. Poglaskała ją po plecach i próbowała pocałować w umykający policzek.

Była kolejka Waltera na zmywanie naczyń, a Pete i Kim bawili się cichutko w pokoju Pete'a, więc wzięła szybki, chłodny prysznic, włożyła krótkie spodenki, koszulkę, tenisówki i uczesała włosy.

Kiedy wiązała włosy, zerknęła do Kim i Pete'a - siedzieli na podłodze, bawiąc się stacją kosmiczną Pete'a.

Cichutko odsunęła się od drzwi i zeszła po schodach wyłożonych nowym chodnikiem. Był to miły wieczór. Wreszcie uporali się z rozpakowywaniem, była odświeżona, czysta i miała kilka minut wolnego czasu, by móc posiedzieć na zewnątrz z Walterem i podziwiać drzewa na ich 2,2 akra ziemi.

Zeszła na dół do holu. Kuchnia była czyściutka, zmywarka

hałasowała. Walter stał przy zlewie wychylony do okna i patrzył w kierunku domu van Santów. Na jego koszuli pojawiła się plama

potu w kształcie królika ze skierowanymi na zewnątrz uszami.

Odwrócił się lekko zaskoczony i uśmiechnął się.

- Długo tu jesteś? - zapytał, wycierając ręce w ścierkę do naczyń.

- Właśnie weszłam.

- Wyglądasz jak nowo narodzona.

- Tak też się czuję. Dzieci bawią się grzecznie. Może wyjdziemy na zewnątrz?

- Dobrze - zgodził się, składając ścierkę. - Ale tylko na parę minut.

Muszę porozmawiać z Tedem - powiesił ścierkę na wieszaku. -

Dlatego wyglądałem przez okno; właśnie skończyli jeść.

- O czym z nim będziesz rozmawiał? Wyszli do patio.

- Miałem ci o tym powiedzieć - mówił, kiedy szli. - Zmieniłem zdanie; wstąpię do tego Stowarzyszenia Mężczyzn.

Stanęła i spojrzała na niego.

- Zajmują się zbyt ważnymi sprawami, żeby tak po prostu przejść

obok - powiedział. - Lokalne kwestie polityczne, działalność

charytatywna i tak dalej.

- Jak możesz wstępować do przestarzałego, staromodnego. ..

- Rozmawiałem z kilkoma mężczyznami w pociągu: z Tedem i

Vikiem Stavrosem oraz paroma innymi, których mi przedstawili.

Przyznaję, że niedopuszczenie kobiet do życia publicznego to

problem przestarzały.

Wziął ją pod rękę i szli dalej.

- Ale można to zmienić tylko od wewnątrz i ja w tym pomogę.

Wstępuję tam w sobotę wieczorem. Ted wprowadzi mnie w

sprawy i panujące tam układy oraz powie, kto jest po jakiej

stronie.

Zaproponował jej papierosa: - Dzisiaj palisz czy nie?

- Zapalę - powiedziała.

Stali na skraju patia w chłodnym, niebieskim zmroku,

przepelnionym graniem świerszczy. Walter przypalił Joannie i

sobie papierosa.

- Spójrz na to niebo - powiedział. - Warte każdego grosza, jaki na to wydaliśmy.

Spojrzała. Niebo było bladofioletowe, niebieskie i

ciemnoniebieskie; śliczne. Wtem spojrzała na swojego papierosa.

- Organizacje można zmieniać od zewnątrz - odparła. - Poprzez

petycje i pikietowanie. ..

- Ale od wewnątrz jest łatwiej. Zobacysz, jeśli mężczyźni, o których ci mówiłem, są normalni, zanim się obejrzysz, będzie to Stowarzyszenie Wszystkich. Wspólny poker, seks na stole

bilardowym...

- Gdyby ci mężczyźni byli tacy, jak mówisz, to już by to było

Stowarzyszenie Wszystkich. No, dobrze, wstąp tam, a ja

tymczasem wymyślę jakieś hasła na plakaty. Będę miała mnóstwo

czasu, kiedy zaczniesz się szkolić.

Objął ją ramieniem i powiedział: - Wytrzymaj jeszcze trochę. Jeśli w ciągu pół roku nie dopuszczą tam kobiet, zrezygnuję i razem

pomaszerujemy, ramię w ramię.

- Stepford jest jakieś zacofane - rzekła, sięgając po popielniczkę stojącą na stoliku piknikowym.

- Nieźle.

- Poczekaj, aż się rozkręcę.

Skończyli palić i stali pod rękę, patrząc na szeroką ścieżkę na łące oraz wysokie drzewa, czarne na tle bladofioletowego nieba.

Światła z okien domów na następnej ulicy, Harvest Lane,

prześwitywały pomiędzy drzewami.

- Robert Ardrey ma rację - powiedziała Joanna. - Czuję się tu

bardzo prowincjonalnie.

Walter spojrzął na dom van Santów i zerknął na zegarek.

- Wejdę do środka i dokończę zmywanie - powiedział i pocałował ją w policzek.

Odwróciła się, wzięła jego twarz w dłoń i pocałowała w usta.

- Zostanę tu jeszcze kilka minut - zdecydowała. - Krzyknij, gdyby dzieciaki rozrabiały.

- Dobrze - odpowiedział. Wszedł do domu przez drzwi prowadzące do pokoju stołowego.

Objęła rękoma ramiona i zaczęła masować je; wieczór stawał się chłodniejszy. Przymknęła oczy, odrzuciła głowę do tyłu i z rozkoszą wdychała zapach trawy, drzew i świeżego powietrza.

Otworzyła oczy, by ujrzeć małą plamkę gwiazdną na ciemnoniebieskim niebie, bilion mil ponad nią. - Gwiazdko, spraw aby... - powiedziała, ale już tylko w myślach dokończyła swoje życzenie.

Chciała, żeby byli szczęśliwi w Stepford, żeby Pete i Kim radzili sobie w szkole i żeby ona i Walter mogli znaleźć przyjaciół i

zadowolenie; żeby on nie narzekał na dojazdy do pracy - chociaż przeprowadzka była przecież jego pomysłem - żeby życie całej ich czwórki było pełniejsze niż przedtem, a nie zubożone, czego się najbardziej obawiała opuszczając miasto. Brudne, zatłoczone, o dużej przestępczości, ale przecież takie żywe.

Hałas i poruszenie zwróciły jej uwagę ku domowi van Santów.

Carol van Sant, ciemna sylwetka na tle światła promieniującego

przez drzwi kuchni, przykrywała kosz na śmieci. Schyliła się (miała rude, błyszczące włosy) podniosła z ziemi coś dużego i okrągłego - kamień - i położyła na pokrywie śmietnika.

- Witam! - zawołała Joanna.

Carol wyprostowała się i stała twarzą do niej. Wysoka, o długich nogach i jakby naga, mimo że miała na sobie podświetloną od tym, fioletową sukienkę.

- Kto tam? - spytała.

- Joanna Eberhart. Przestraszyłam cię? Jeśli tak, to przepraszam.

- Podeszła do płotu, który dzielił ich posiadłość.

- Cześć, Joanno - odpowiedziała Carol swoim nosowym, charakterystycznym dla mieszkańców Nowej Anglii głosem. - Nie przestraszyłaś mnie. Przyjemna noc, prawda?

- Tak - odpowiedziała Joanna. - A na dodatek skończyłam rozpakowywanie, dzięki czemu wydaje się jeszcze przyjemniejsza.

Musiała mówić głośno; Carol nadal stała w drzwiach kuchennych, zbyt daleko, by prowadzić swobodną rozmowę, mimo iż ona sama była już przy kwiatkach rosnących pod płotem.

- Kim świetnie się bawiła dziś po południu z Allison - powiedziała.

- Bardzo dobrze się ze sobą czują.

- Kim jest cudowną dziewczynką - powiedziała Carol. - Cieszę się, że Allison ma obok tak sympatyczną koleżankę. Dobranoc,

Joanno. - Odwróciła się, żeby wejść z powrotem.

- Zaczekaj chwilkę! - zawołała Joanna.

Carol odwróciła się. - tak?

Joanna wolałaby, żeby nie było tu tych kwiatków ani płotu. By

mogła podejść bliżej albo by Carol podeszła do niej. Co mogło być aż tak nie *cierpiącego* zwłoki w tej błyszczącej kuchni, pełnej ozdobnych, miedzianych garnków? - Walter pójdzie porozmawiać

z Tedem - zaczęła, mówiąc głośno do ciemnej sylwetki Carol. - Jak już położysz dzieci do łóżek, może byś wpadła do mnie na kawę?

- Bardzo chętnie, ale muszę wywoskować podłogę w jadalnym.

- W nocy?

- Noc jest najlepszą porą, zanim nie zacznie się szkoła.

- Czy to nie może poczekać? Jeszcze tylko trzy dni.

Carol pokręciła głową. - Nie, za długo to odkładałam, jest już całkiem porysowana. A poza tym Ted pójdzie potem do klubu.

- Czy on tam chodzi co wieczór?

- Prawie.

- O Boże! A ty zostajesz w domu i sprzątasz?

- Zawsze znajdzie się coś do roboty - stwierdziła Carol. - Wesz, jak to jest. Muszę teraz kończyć kuchnię. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała Joanna i patrzyła, jak Carol weszła do kuchni i zamknęła drzwi. Prawie natychmiast pojawiła się w

oknie nad zlewem, wzięła coś do ręki i zaczęła to szorować. Rude

włosy miała zadbane i błyszczące; twarz z wąskim nosem

wydawała się zamyślona, nawet inteligentna; duże piersi podska-

kiwały w rytm szorowania.

Joanna wróciła do patia. Nie, na szczęście nie wiedziała, co to

znaczy być zniewoloną kurą domową. Ale któż mógłby winić

Tfeda za to, że wykorzystuje żonę, która aż się prosi, żeby ją

wykorzystywano.

Walter wyszedł z domu w lekkiej kurtce. - To nie powinno trwać dłużej niż około godziny - powiedział.

- Dziwna jest ta Carol van Sam. Nie może przyjść do mnie na kawę, bo musi jeszcze woskować podłogę w jadalni. Ted chodzi do klubu co wieczór, a ona zostaje w domu i sprząta.

- Chryste - jęknął Walter, potrząsając głową.

- Przy niej to nawet moja matka wydaje się być bałaganiarą.

Roześmiał się. - Do zobaczenia - powiedział, pocałował ją w policzek i poszedł przez patio.

Ponownie spojrziała na swoją gwiazdkę, która świeciła teraz jaśniej. Zaczynij działać, pomyślała. I weszła do domu.

W sobotę rano, wygodnie usadowieni w nowiutkim kombi, wybrali się we czwórkę na wycieczkę. Joanna i Walter w ciemnych okularach rozmawiali o sklepach i zakupach, a Pete i Kim bawili się sterownikiem do automatycznego otwierania szyb, aż Walter zabronił im dalszej zabawy. Dzień był rześki i pełen kolorów - pierwsza oznaka nadchodzącej jesieni. Pojechali do Centrum Handlowego w Stepford (sklepy pomalowane na białą, jak na pocztówkach), gdzie za kupony premiowe załatwili sprawunki w dziale z artykułami żelaznymi i w dziale drogerijnym. Następnie udali się do nowej hali handlowej na Route Nine po buty dla Pete'a i Kim oraz - już za gotówkę - po

**zakupy do działu ze sprzętem gimnastycznym; potem pojechali na
wschód do Eastbridge Road, do McDonalda (tam wzięli Big Maca i
koktajle czekoladowe) następnie trochę dalej na wschód, do
antykwariatu (kupili ośmiokątny stół, ale nie było żadnych
starych dokumentów dla Waltera); a potem na pomoc, południe,
wschód, zachód, czyli zwiedzali Stepford. Anvil Road, Cold Creek
Road, Hunnicutt, Beavertail, Bur-gess Ridge. Pokazali Pete'owi i
Kim nową szkołę (Joanna i Walter już ją widzieli podczas
szukania domu do kupienia) i inne szkoły, do których będą z
czasem uczęszczali; zobaczyli również coś, czego nie sposób
odgadnąć, do czego ma służyć, czyli jakieś krematorium, oraz
miejsce do urządzania pikników, gdzie budowano publiczną
pływalnię. Joanna na prośbę Pete'a śpiewała "Good Morning
Starshine", a potem wszyscy zaczęli udawać, że grają na jakimś instrumencie końcową partię
"MacNamara's Band", tymczasem**

**Kim zrobiło się niedobrze, ale Walter się zorientował i dzięki
Bogu zdążył zatrzymać się na czas i uwolnić ją z pasów
bezpieczeństwa.**

**Tempo wyraźnie spadło. Powoli pojechali przez Centrum
Handlowe, ponieważ Pete stwierdził, że i on może zwymiotować.
Walter pokazał im bibliotekę pomalowaną na białą oraz
dwustuletnią willę, siedzibę Towarzystwa Historycznego.**

**Kim cały czas wyglądała przez okno, nagle wyjęła z ust pastylkę
przeciwwymiotną i zapytała:**

- A ten duży budynek to co?

- To siedziba Stowarzyszenia Mężczyzn - odpowiedział Walter.

Pete wiercił się na siedzeniu do granic możliwości pasa

bezpieczeństwa i wyjrzał:

- Czy to tam idziesz dziś wieczorem? - zapytał.

- Właśnie tam - odpowiedział Walter.

- A jak się tam dostaniesz?

- Iam dalej za wzgórzem jest szosa prowadząca na górę.

Zatrzymali się za ciężarówką, na której stał mężczyzna ubrany w

krótkie spodenki koloru khaki i rozprostowywał ramiona. Miał

ciemne włosy, wąską szczupłą twarz i nosił okulary.

- To Gary Claybrook, prawda? - powiedziała Joanna.

Walter krótko zatrząbił i pomachał mu ręką przez okno. Ich sąsiad

z przeciwka schylił się, by na nich spojrzeć, uśmiechnął się,

pomachał i odjechał. Joanna uśmiechnęła się, pomachała mu

także. Kim krzyknęła:

- Dzień dobry panu! - Pete zawołał; - Gdzie jest Jeremy?

- On was nie słyszy - powiedziała Joanna.

- Chciałbym umieć prowadzić ciężarówkę w taki sposób! -

powiedział Pete.

- Ja też! - zawołała Kim.

Ciężarówka czołgała się i sapła, zmagając się ze stromym

zakrętem prowadzącym pod górę. Gary Claybrook uśmiechnął się

do nich z zakłopotaniem. Na ciężarówce były załadowane małe

kartony.

- Co on robi? Dorabia? - spytała Joanna.

- Nie, jeśli to, co powiedział o nim Ted, jest prawdą - odparł

Walter.

- Ach tak?

- Co to znaczy dorabiać? - zainteresował się Pete.

W ciężarówce włączyły się światła hamulcowe; zatrzymała się, a lewy kierunkowskaz mrugał.

Joanna wytłumaczyła, co oznacza dorabianie.

Jakiś samochód pomknął na dół, a ciężarówka zaczęła się posuwać po lewym pasie. - Czy to jest ta szosa, o której mówileś? - spytał Pete, a Walter kiwnął głową.

- Tak.

Kim jeszcze niżej opuściła okno, krzycząc:

- Dzień dobry panu! - machała, gdy przejeżdżali koło niego.

Pete uwolnił się z pasa bezpieczeństwa i skakał po siedzeniu na

kolanach.

- Czy ja też tam pójde? - zapytał, wyglądając przez tylną szybę.

- Przykro mi - powiedział Walter - ale tam dzieciom wstęp

wzbroniony.

- O rety, ale mają wysoki płot! - powiedział Pete.

- Zupełnie jak w filmie "Bohaterowie Hogana".

- Po to, żeby kobiety nie mogły wejść do środka - powiedziała

Joanna, patrząc przed siebie i przytrzymując ręką okulary.

Walter uśmiechnął się.

- Naprawdę? - spytał Pete. - Po to jest ten płot?

- Pete odpiął pasy - poskarżyła Kim.

- Pete - ostrzegła Joanna. Pojechali na Norwood Road, a

następnie na zachód do Winter Hill Drive.

Nie zamierzała robić żadnych porządków domowych, mimo iż

należałoby uporządkować półki z książkami. Ale nie dzisiaj. To

może równie dobrze poczekać. Nie była przecież ani Carol van

Sant, ani Mary Ann Stavros, która ciągnie za sobą odkurzacz,

nawet gdy idzie do pokoju syna, aby opuścić rolety. O nie. Walter poszedł do klubu i w porządku, musiał tam pójść, aby się zapisać i będzie tam musiał chodzić ze trzy razy w tygodniu, aby zmienić

Stowarzyszenie. Ale ona nie będzie podczas jego nieobecności

sprzątać mieszkania, tak jak on by nie sprzątał, gdyby ona gdzieś wyszła, co właśnie robi w następną księżycową noc. Pójdzie do

centrum i zrobi parę zdjęć sklepu. Nieregularna ścianka sklepu

z wyrobami żelaznymi może interesująco błyszczeć w świetle

księżycy.

Kiedy już Pete i Kim smacznie spali, zeszła do piwnicy, aby zrobić pomiary i zaplanować ciemnię w dotychczasowej komórce.

Następnie wróciła na górę, żeby sprawdzić, czy Pete i Kim śpią,

zrobiła sobie drinka - wódkę z tonikiem - i zabrała go do gabinetu.

Włączyła radio, gdzie grali jakąś sentymentalną, ale ładną

melodię Richarda Rodgersy'ego. Odsunęła na bok stołu jakieś

kontrakty i inne rzeczy Waltera, wyciągnęła szkło powiększające,

czerwony ołówek i negatywy filmowe. Większość zdjęć, robionych

w pośpiechu, była stratą filmu, z czym się zresztą liczyła, nigdy jej nie wychodziły robione na chybcika, ale znalazła jedno, które jej się szalenie spodobało. Na zdjęciu był młody, elegancki Murzyn z

aktówką w ręku, obrzucający wściekłym spojrzeniem pustą

taksówkę, która go właśnie minęła. Gdyby zrobić powiększenie

jego twarzy z nieostrą taksówką na ciemnym tle, mogłoby wyjść z

tego przykuwające uwagę zdjęcie. W każdym razie była pewna, że

zainteresuje ono jej firmę. Jest duże zapotrzebowanie na zdjęcia

na temat dyskryminacji rasowej.

Zaznaczyła czerwoną gwiazdką róg negatywu i przeszła do innych, które mogłyby być dobre lub chociaż przynieść jakieś pieniądze.

Piętnaście po jedenastej poczuła się zmęczona, więc odsunęła rzeczy na swoją część biurka, a rzeczy Waltera przesunęła z powrotem tam, gdzie leżały. Potem wyłączyła radio, zniosła do kuchni szklankę po drinku i wypłukała ją. Sprawdziła drzwi, wyłączyła światła poza jednym na korytarzu i poszła na górę. Sło-

nik Kim leżał na podłodze. Podniosła go i włożyła pod koldrę obok poduszki, a potem otuliła koldrą ramiona Kim i delikatnie

pogłaskała ją po loczkach. Pete leżał na plecach z otwartą buzią, dokładnie tak samo jak przedtem. Poczekala, aż zobaczyła, jak

równy oddycha, otworzyła szerzej drzwi, wyłączyła światło w holu

i weszła do sypialni. Rozebrała się, splotła włosy w warkocz,

wzięła prysznic, posmarowała twarz kremem, wyczyściła zęby i

poszła do łóżka. TA dwadzieścia dwunasta. Wyłączyła lampkę.

Leżąc na plecach, wysunęła prawą rękę i nogę. Brakowało jej

Waltera obok, ale szeroka przestrzeń była także przyjemna. Ile to razy sama musiała iść do łóżka, odkąd byli małżeństwem?

Niewiele: wtedy gdy wyjeżdżał z miasta w sprawach służbowych,

gdy była w szpitalu, żeby urodzić Pete'a i Kim, gdy w nocy wy-

siadła elektryczność i kiedy pojechała na pogrzeb wuja Berta - w

sumie może ze dwadzieścia albo dwadzieścia pięć razy podczas

ich dziesięcioletniego małżeństwa. To niezłe uczucie. Boże,

zaczynała się czuć znów jak Joanna Ingalls. Czy ją jeszcze

pamiętasz?

Zastanawiała się, czy Walter się upije. Tam na tej ciężarówce

Gary'ego Claybrooka był alkohol (a może te kartony były za małe

jak na butelki z alkoholem?). Ale Walter pojechał samochodem z

Vikiem Stavrosem, więc niech się upija. Chociaż raczej nie

powinien, rzadko mu się to zdarza. A jeśli i Vic Stavros się upije?

Te niebezpieczne zakręty na Norwood Road...

Ale po co się martwić na zapas?

Łóżko się trzęsło. Leżała w ciemności, patrząc na ciemniejszą

plamę otwartych drzwi do łazienki i błyszczące klamki od drzwi.

Łóżko trzęsło nią rytmicznie, a każdemu wstrząsowi towarzyszyło

raz po raz słabe skrzypienie sprężyn. To Walter się trząsał! Miał

gorączkę! A może delirium? Pochyliła się nad nim, podpierając

się na łokciu, próbując w ciemności znaleźć jego brew. Błysnął na nią białkami oczu i odwrócił

się, a namiocik na koldrze powstały z wypukłości w okolicach pachwiny zastąpił kształt biodra.

Łóżko

uspokoilo się.

Czyżby się masturbował?

Nie wiedziała, co robić? Usiadła na łóżku.

- Myślałam, że masz delirium - zaczęła. - Albo gorączkę.

Leżał bez ruchu. - Nie chciałem cię budzić - powiedział. - Jest już po drugiej.

Siedziała, próbując złapać oddech.

On dalej leżał na boku nie odzywając się.

Spojrzała na pokój, okna i meble, na które padało nikle światło z nocnej lampki w łazience

Pete'a i Kim. Poprawiła sobie warkocz i

pomasowała się po brzuchu.

- Mogłeś mnie obudzić. Nie miałabym nic przeciwko temu.

Nie odezwał się.

- Mistrzu, nie musiałeś aż tego robić - powiedziała,

- Po prostu nie chciałem cię budzić. Smacznie spałaś.

**- Więc następnym razem mnie zbudź. Położył się z powrotem na
plecach. Żadnego namiociku.**

- Więc robileś to? - spytała.

- Nie.

- W porządku - powiedziała uśmiechając się

**- teraz i tak już nie śpię. - Odwróciła się do niego i objęła
ramieniem; on też ją objął i zaczęli się całować. Pachniał**

scotch.

- Troskliwość, rozumiem - szepnęła mu do ucha

- ale Chryste Panie, nie do tego stopnia!

Był to jeden z najcudowniejszych momentów, przynajmniej dla

niej. - Rany - mówiła wracając z łazienki - jeszcze teraz czuję się wycieńczona.

Uśmiechnął się do niej, siedząc w łóżku i paląc papierosa.

Wróciła do pościeli i usadowiła się wygodnie pod jego ramieniem,

a on położył dłoń na jej piersiach. -

Co oni ci zrobili? - zapytała. - Pokazywali ci filmy porno czy co?

Uśmiechnął się. - Nic z tych rzeczy.

Włożył jej do ust swego papierosa, którym zaciągnęła się.

- Przegrałem osiem i pół dolara w pokera i tłumaczyli mi, że

Zarząd Granic Miasta ma złe plany co do Eastbridge Road.

- Bałam się, żebyś się nie upił.

- Ja? Tylko dwie szkockie. Przecież to nie są alkoholicy. A co ty robiłaś?

Opowiedziała mu o nadziejach związanych ze zdjęciem Murzyna.

A on opowiedział jej o mężczyznach, których poznał: pediatra,

van Santowie i Clay-brookowie polecali jako ewentualnych

reformatorów Związku ilustratora lokalnych gazet, który był

główną osobistością w Stepford, dwóch prawników, psychiatrę,

szefa Policji i dyrektora Centrum Handlowego.

- Psychiatra powinien być raczej za wpuszczeniem kobiet do

Stowarzyszenia - powiedziała.

- I jest, podobnie jak dr Verry. Pozostałych jeszcze nie

wy badałem; nie chciałem już od pierwszego spotkania ujawnić się

jako aktywista.

- Kiedy znów tam pójdziesz? - spytała i nagle nie wiadomo

dlaczego ogarnął ją strach, że powie jutro.

- Nie wiem. Posłuchaj, nie będę prowadził takiego trybu życia jak Ted i Vic. Pójdę za jakiś tydzień. Nie wiem. To jest naprawdę dość prowincjonalne.

Uśmiechnęła się i przytuliła jeszcze bardziej.

Zdażyła przebyć jedną trzecią drogi w dół z zasłaniającym jej

wszelkie widoki koszem na bieliznę, gdy zadzwonił ten cholerny

telefon. Nie mogła postawić kosza na schodach, bo zleciałby na

dół, a za mało miała miejsca, żeby się z nim odwrócić i iść na górę; tak więc powoli schodziła, wymacując nogami stopień i mówiła w

myślach do natrętnego telefonu “dobrze, dobrze”... Dotarła na dół, postawiła kosz i podbiegła do biurka w gabinecie.

- Hallo - powiedziała tak, jak się w tej chwili czuła, bez

entuzjazmu.

- Dzień dobry, czy mówię z panią Joanną Eberhart? - Głos był wysoki, radosny i chrapliwy; podobny do głosu Peggy Clavenger. Ale przecież słyszała, że Peggy obecnie pracuje w Paris-Matchu, więc prawdopodobnie nie wie, że ona wyszła za mąż, nie mówiąc już o adresie.

- Tak - odpowiedziała. - A kto mówi?

- Nie zostaliśmy jeszcze sobie formalnie przedstawione - powiedział głos nie należący do Peggy Clavenger - ale zaraz to uczynię. Bobbie, chcę, abyś poznała Joannę Eberhart. Joanno, poznaj Bobbie Markowe - pisze się przez K-O-W-E. - Bobbie mieszka tu od pięciu tygodni i bardzo by chciała poznać kogoś, kto jest półprofesjonalnym fotografem, interesuje się polityką i ruchem feministycznym. Zdaje się, że to ty Joanno, jeśli to, co piszą o tobie w Kronice Stepford (która właściwie powinna się nazywać Kroniką Towarzyską) jest prawdą. Czy rzeczywiście jesteś taka, jak

cię przedstawili, że nie przywiązujesz wielkiej wagi do tego, czy różowe mydelko jest lepsze od niebieskiego i vice versa? Halo?

Joanno, jesteś tam jeszcze? Halo?

- Tak, jestem, jak najbardziej. Kurcze blade, ależ oplaca się reklamować!

- Cóż za ulga móc wreszcie zobaczyć bałagan w kuchni! -

powiedziała Bobbie. - Nie jest aż tak straszna jak moja - nie ma tu na przykład na szafkach śladów po wysmarowanych masłem

orzechowym rączkach - ale jest nieźle, bardzo dobrze. Gratuluję.

- Mogę ci jeszcze pokazać bałagan w łazienkach, jeśli chcesz -

zaproponowała Joanna.

- Dzięki, wystarczy mi kawa.

- Może być rozpuszczalna?

- Chcesz powiedzieć, że masz coś innego?

Była mała, z dużym zadkiem, w niebieskiej koszulce ze Snoopym,

**w dżinsach i sandałach. Miała duże usta, niesłychanie białe zęby, niebieskie, wszystko widzące
oczy i krótkie, ciemne włosy, małe**

dłonie i brudne palce u nóg, męża imieniem Dave, który był

maklerem giełdowym, oraz trzech synów w wieku dziewięciu,

**ośmiu i sześciu lat. Poza tym psy: bobtaita i korgi. Wyglądała na trochę młodszą od Joanny,
może na trzydzieści dwa lub trzy lata.**

**Wypiła dwie filiżanki kawy, zjadła ciastko i opowiedziała Joannie o kobietach na Fox Hollow
Lane.**

- Mam wrażenie, że trwa jakiś ogólnokrajowy konkurs czystości, o

którym jeszcze nie słyszałam - powiedziała, oblizując umazane w

czekoladzie czubki palców. - Wygrana: milion dolarów i Paul

Newman

za najczystszy dom. Do przyszłej Gwiazdki. Tak więc szoruj,
szoruj, szoruj, pastuj, pastuj, pastuj.

- Tutaj jest tak samo - powiedziała Joanna. - Nawet w nocy. - A
wszyscy mężczyźni należą do Stowarzyszenia Mężczyzn! -
wrzasnęła Bobbie.

Porozmawiały o przestarzałej dyskryminacji płci, o prawdziwej
niesprawiedliwości w miasteczku, w którym nie ma
Stowarzyszenia Kobiet ani nawet Ligi Kobiet Głosujących.

- Uwierz mi, przeczesalam całą okolicę! - powiedziała Bobbie.

- Jest Klub Ogrodników i kilka organizacji kościelnych, które

mnie i tak nie interesują. A tak na marginesie... "Markowe" to skrót od "Markowitz". Jest
jeszcze bardzo anemiczne

Towarzystwo Historyczne. Można tam wpaść i powiedzieć im
"cześć". Żywe trupy.

Dave również zapisał się do Stowarzyszenia Mężczyzn i podobnie
jak Walter zamierzał je przekształcać od środka.

Ale Bobbie i tak wiedziała lepiej:

- Zobaczysz, będziemy musiały przywiązać się łańcuchami do tego
plotu, żeby coś się tam poruszyło. A co myślisz w ogóle o tym
płocie? Pomyślałby kto, że robią tam opium!

Porozmawiały o możliwości spotkania z niektórymi sąsiadkami i
zorganizowania zebrania, na którym uświadomiłyby kobietom ich
bierność, konieczność działania oraz rolę, jaką mogłyby odegrać

w życiu miasta. Zgodziły się, że kobiety, które dotąd spotkały, raczej niechętnie myślały nawet o jakiegokolwiek swobodzie działania. Mówiły jeszcze o Narodowej Organizacji Kobiet, do której obie należały, i o zdjęciach Joanny.

- Boże, jakie świetne! - zachwycała się Bobbie, oglądając cztery oprawione powiększenia, które Joanna powiesiła w pracowni. - Są naprawdę bombowe!

Joanna jej podziękowała.

- "Zapalony fotograf amator". - Myślałam, że tu chodzi o portrety ukochanych dzieciaków! Są naprawdę cudowne!

- Teraz, kiedy Kim poszła do przedszkola, wezmę się do roboty - Joanna odprowadziła Bobbie do samochodu.

- Do diabła, nie - powiedziała Bobbie. - Powinniśmy przynajmniej spróbować. Porozmawiajmy z tymi kurami domowymi; musi znaleźć się chociaż jedna, która przejawiałaby zainteresowanie sytuacją. Co ty na to? Czy nie byłoby świetnie, gdybyśmy mogły utworzyć grupkę, która może stałaby się nawet odłamek NOK-u. Pokazałybyśmy Stowarzyszeniu Mężczyzn, co potrafimy? Dave i Walter oszukują się, nic się nie zmieni dopóty, dopóki nie przyciśniemy ich do ściany; tak to jest z konserwatywnymi grupami. Co ty na to, Joanno? Zorientujmy się.

Joanna przytaknęła: - Chyba powinniśmy. Wszystkie nie mogą być tak zadowolone, na jakie wyglądają.

Rozmawiała z Carol van Sant.

- Nie, Joanno, to nie dla mnie, nie widziałabym się w tym, ale

dzięki, że mnie spytałaś. - Carol czyściła plastikowe półki, dzielące pokój Stacy i Allison na dwie części, zmywając je pewnymi

ruchami gąbką.

- To by zajęło tylko parę godzin - nalegała Joanna. - Wieczorami

albo - jeśli będzie wygodniej - gdy dzieci będą w szkole.

Carol, schylając się, by umyć dolną część półek, powiedziała:

- Przykro mi, ale po prostu nie mam czasu na takie rzeczy.

Joanna patrzyła na nią przez chwilę:

- Nie przeszkadza ci, że do centralnej organizacji w Stepford,

jedynej, która robi coś znaczącego w sprawach dotyczących życia

społecznego naszego miasteczka, nie mogą należeć kobiety? Nie

wydaje ci się to archaiczne?

- "Archaiczne"? - spytała Carol, wyzymając gąbkę do wiadra z brudną wodą.

Joanna spojrzała na nią: - Czyli przestarzałe - powiedziała.

Carol wycisnęła gąbkę nad wiadrem: - Nie, nie wydaje mi się to

archaiczne - odpowiedziała. Wyprostowała się i sięgnęła gąbką do

najwyższej półki.

- Ted bardziej się do takich spraw nadaje niż ja - zaczęła pewnym ruchem zmywać następną półkę. - A poza tym mężczyźni

potrzebują miejsca, w którym mogliby się zrelaksować i napić -

dokończyła.

- A kobiety nie muszą?

- Nie, nie aż tak bardzo. - Carol potrząsnęła

czystą rudą głową (jakby do reklamy szamponów), nie odrywając

się od pracy. - Przykro mi Joanno, po prostu nie mam czasu na żadne spotkania.

- Nie ma sprawy, gdybyś zmieniła zdanie, zadzwoń do mnie.

- Nie obrazisz się, jeśli nie odprowadzę cię na dół?

- Nie, oczywiście, że nie. Rozmawiała również z Barbarą

Chamalian, mieszkającą po drugiej stronie van Santów.

- Dzięki, ale nie bardzo wiem, jak bym miała sobie z tym poradzić

- powiedziała Barbara. Miała kwadratową szczękę, brązowe

włosy, była ubrana w wygodną, różową sukienkę, podkreślającą

jej niezwykle ładną figurę. - Lloyd często bywa w mieście, a

wieczorami lubi pójść do Stowarzyszenia. Nie chciałabym

wydawać na opiekunkę do dzieci tylko po to...

- Mogłoby to odbywać się w godzinach, kiedy są w szkole -

powiedziała Joanna.

- Nie - odpowiedziała Barbara - na mnie raczej nie licz. -

Uśmiechnęła się szeroko i pociągająco. - Ale cieszę się, że się

poznałyśmy, może byś weszła na chwilę i posiedziała? W tej chwili prasuję.

- Nie, dziękuję - powiedziała Joanna. - Chcę porozmawiać jeszcze

z innymi kobietami.

Rozmawiała z Marge McCormick ("Szczerze mówiąc, wątpię, czy

to by mnie interesowało.") i Kit Sundersen ("Obawiam się, że nie mam na to czasu; bardzo mi przykro, pani Eberhart") oraz z

Donną Claybrook ("To ciekawy pomysł, ale ostatnio mam tyle pracy. Dziękuję jednak, że o mnie pomyślała").

W przejściu w Centrum Handlowym spotkała Mary Ann Stavros.

- Nie, nie sędzę, aby miała czas na coś takiego. W domu jest

zawsze tyle do zrobienia. Wiesz, jak to jest.

- Ale czasami chyba wychodzisz, prawda? - zapytała Joanna.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała Mary Ann. - Przecież teraz

wyszłam, czyż nie?

- Mam na myśli wychodzić gdzieś, żeby odpocząć.

Mary Ann uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, kołysząc jasnymi

włosami, które były gęste i proste. - Nie, rzadko. Nie muszę się

relaksować. Do zobaczenia.

Odeszła, pchając wózek z zakupami, zatrzymała się, wzięła z półki puszkę, spojrzała na nią, włożyła do wózka i poszła dalej.

Joanna popatrzyła za nią, potem zajrzała do wózka innej kobiety,

która właśnie powoli przechodziła obok niej.

Chryste! - pomyślała, one nawet zakupy układają porządnie w

wózku! Spojrzała do swojego na przewalające się puszki, pudełka

i słoiki. Nagle ogarnęło ją poczucie winy i chęć uporządkowania

rzeczy. Niech będę przeklęta, jeśli to zrobię, pomyślała. Złapała z półki pudełko proszku do prania i wrzuciła do wózka. Nawet nie

musiała tego kupować!

W poczekalni u doktora Verry'ego rozmawiała z matką jednej z koleżanek Kim z przedszkola oraz z Yvonne Weispalt z dalszego sąsiedztwa oraz z Jill

Burkę. Wszystkie ją rozczarowały. Albo nie miały czasu, albo nie interesowały się tym, by spotkać się z innymi kobietami i podzielić się z nimi swoimi doświadczeniami. Bobbie miała jeszcze mniej szczęścia, biorąc pod uwagę fakt, że nagabywała dwukrotnie więcej kobiet niż Joanna.

- Jedna robi zakłady - opowiadała Joannie. - Jest to osiemdziesięcioletnia wdowa, która wciągnęła mnie do domu i więziła mnie tam okrągłą godzinę, opluwając bez przerwy.

Jeżeli kiedykolwiek zechcemy sforsować Stowarzyszenie Mężczyzn, Eda Mae Hamilton jest zawsze chętna i gotowa.

- Trzeba być z nią w kontakcie - powiedziała Joanna.

- O nie, to jeszcze nie koniec!

Przez cały ranek wydzwaniały do różnych kobiet, wychodząc z

założenia (to był pomysł Bobbie), że zasugerowani, iż już istnieje taka grupa, w której znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej

chętniej, może dać dobre rezultaty. Nie wyszło.

- Chryyyste! - powiedziała Bobbie, zatrzymując gwałtownie samochód na Short Ridge Hill. - Tu dzieje się coś podejrzanego!

Jesteśmy w miasteczku, w którym zatrzymał się czas.

Pewnego popołudnia Joanna zostawiła Pete'a i Kim pod opieką

szesnastoletniej Melindy Stavros i pojechała pociągiem do miasta, gdzie spotkała się z Walterem oraz ich przyjaciółmi, Shepem i

Sywią

Tackowerami, we włoskiej restauracji, w dzielnicy teatralnej.

Miło było ponownie zobaczyć Shepa i Sywią. Byli wesołą i

skromną, ale bardzo energiczną parą, mimo że spotkało ich kilka

nieszczęść, w tym utonięcie czteroletniego synka. Miło było znów

znaleźć się w mieście; Joanna rozkoszowała się kolorami i krzą-

tanią w zatłoczonej restauracji. Razem z Walterem

entuzjastycznie opowiadali o pięknie i ciszy Stepford oraz o

zaletach mieszkania w domku zamiast w bloku. Nic nie mówiła o

tym, jak bardzo tamtejsze kobiety są skupione wokół spraw

domowych i o ich braku zainteresowań. Prawdopodobnie była to

próżność z jej strony, ale nie chciała stać się obiektem litości, nawet ze strony Shepa i Sylvii.

Opowiedziała im o Bobbie, jaka jest zabawna, o dobrych, nie

przepelnionych szkołach. Walter nie wspominał o

Stowarzyszeniu Mężczyzn, ona też nie. Sylvia, która tkwiła na

Wydziale Budownictwa Zarządu Miasta, byłaby oburzona. Lecz w

drodze do teatru Sylvia obrzuciła ją badawczym spojrzeniem i

zapytała;

- Ciężko się przestawić?

- W pewnym sensie tak - odpowiedziała.

- Dasz radę - powiedziała Sylvia i uśmiechnęła się do niej. - A jak tam twoja fotografia? Masz bardzo dogodną sytuację, bo możesz

na wszystko spojrzeć świeżym okiem.

**- Jeszcze nic nie zrobiłam. Razem z Bobbie biegamy, próbując
powołać do życia jakiś ruch feministyczny. Prawdę mówiąc,**

panuje tam pewien rodzaj stagnacji.

- Bieganie to nie jest zajęcie dla ciebie. Fotografowanie tak -

powiedziała Sylvia,

- Wiem. W najbliższym czasie przychodzi do mnie hydraulik, by

zainstalować zlew w ciemni.

- Walter wygląda na weselszego.

- Rzeczywiście. Mamy tam wspaniałe życie.

Sztuka, muzyczny przebój zeszłego sezonu okazała się słaba. W

pociągu, w drodze do domu, kiedy już podzielili się wrażeniami,

Walter włożył okulary i wyciągnął jakieś papiery, Joanna

**przekartkowała "Time'a", a potem wyglądała przez okno, paląc papierosa i wpatrując się w
ciemność rzadko przetykaną**

**światłami. Sylvia miała rację; fotografia to zajęcie dla niej. Do diabła z kobietami ze Stepford.
Poza Bobbie, oczywiście. Oba**

samochody były na stacji, wracali więc do domu oddzielnie.

Joanna pojechała pierwsza, a Walter za nią w toyocie. Centrum

Handlowe było zamknięte i oświetlone jak do zdjęć przez trzy

**latarnie uliczne. Tak, zrobi tu zdjęcia, jeszcze zanim będzie miała gotową ciemnię. W
Stowarzyszeniu paliły się światła, a**

samochód, wyjeżdżający z tamtejszej drogi dojazdowej, czekał, aż

oni przejadą.

Melinda Stavros ziewała, ale była zadowolona, a Pete i Kim

smacznie spali w łóżeczkach. W salonie na stole stały puste

**szklanki po mleku, talerze i kulki z papieru porzucane były po kanapie i podłodze, w kącie
leżała pusta butelka po napoju**

imbirowym.

**Chwała Bogu, że nie zarażają tą pedanterią swoich córek -
pomyślała Joanna.**

**Kiedy Walter po raz trzeci był w Stowarzyszeniu,
zadzwoił około dziewiątej i powiedział Joannie, że przyprowadzi
do domu Komitet Organizacyjny do spraw Lokalnych, do którego
został wyznaczony na poprzednim spotkaniu. W budynku coś się
działo, gdyż słyszała w słuchawce hałas jakichś maszyn i
domyśliła się, że nie mogli znaleźć cichego miejsca, żeby usiąść i spokojnie porozmawiać.**

**- W porządku - powiedziała. - Wywalę resztę rzeczy z ciemni,
żebyście mieli cały...**

**- Nie, posłuchaj, zostań z nami i włącz się do rozmowy. Jest tu
kilku zagorzałych przeciwników kobiet, więc nie zaszkodzi im
wysłuchanie kilku inteligentnych komentarzy wygłoszonych przez
kobietę. A podejrzewam, że coś powiesz.**

- Dziękuję, a nie będą mieli nic przeciwko temu?

- To przecież nasz dom.

- Jesteś pewien, że nie potrzebna ci po prostu kelnerka?

Zaśmiał się: - O Boże, nie da się ciebie wykiwać - powiedział. -

**Dobra, rozszyfrowałaś mnie. Ale chodzi o inteligentną kelnerkę,
rozumiesz? Zrobiłabyś to? Może to by coś dało?**

**- W porządku. Daj mi piętnaście minut i stanę się inteligentną i
piękną kelnerką. Co ty na taką współpracę?**

- Fantastyczne. Nie do wiary!

Było ich pięciu, w tym jeden wesóły z rumianą twarzą, w wieku około sześćdziesięciu lat, z zawijanym wąsikiem, czyli Ike Mazzard, ilustrator czasopism. Joanna przywitała się z nim serdecznie:

- Nie wiem, czy pana lubię. Tymi pięknymi dziewczętami, które pan zawsze rysował, zepsuł mi pan okres, kiedy byłam młodziutką panienką.

On odpowiedział ze śmiechem.

- Pewnie chciała być pani taka jak one.

- Oczywiście, że tak - powiedział.

Pozostali mężczyźni mieli około czterdziestki. Wysoki, nonszalancki brunet to Dale Coba, prezes Stowarzyszenia,

Uśmiechnął się do niej zielonymi oczyma w sposób dyskredytujący i powiedział.

- Miło cię poznać, Joanno.

Jeden z tych nieugiętych, pomyślała, którym się wydaje, że kobieta powinna być jego podnóżkiem. Miał delikatną dłoń, którą jej podał bezwolnie. Pozostali to Anselm czy Axhelm, Sundersen i

Roddenberry.

- **Poznałam pańską żonę - powiedziała Sundersenowi, który był blady, brzuchaty i wyglądał na znerwicowanego - jeżeli to wy mieszkacie zaraz za drogą.**
- **Naprawdę? Poznałaś ją? Iak, to my. Jesteśmy jedynymi**

Sundersenami w Stepford.

- Zapraszałam żonę na jakieś spotkanie, ale nie miała czasu.

- Nie jest zbyt towarzyska - oczy Sundersena unikały wzroku Joanny.

- Przepraszam, nie usłyszałam, jak pan ma na imię, powiedziała.

- Herb - odpowiedział, nie patrząc na nią.

Poprosiła ich do salonu, a sama poszła do kuchni po wodę sodową i kostki lodu, które przyniosła Walterowi do barku.

- Inteligentna? Piękna? - powiedziała, a on uśmiechnął się do niej.

Wróciła do kuchni i wypełniła miseczki chrupkami i orzeszkami.

Nie było sprzeciwu ze strony panów, gdy trzymając szklanę,

spytała: "czy mogę?" i usiadła na końcu kanapy, które to miejsce zostawił dla niej Walter. Dce Mazzard i Anselm czy Axhelm

wstali, a pozostali poruszyli się, jakby mieli wstać - poza

Dalem'em Cobą, który siedział, jedząc orzeszki ze zgiętej dłoni, i przyglądał się jej zza stołu zielonymi dyskredytującymi oczyma.

Rozmawiali na temat zabawek gwiazdkowych i zachowania

krajobrazu. Roddenberry miał na imię Frank, śmieszny nos jak u

mopsa, siną brodę i trochę się jąkał; Coda zaś miał przydomek

Diz, który zupełnie do niego nie pasował. Zastanawiali się, czy w tym roku nie powinno być lampek chanukowych w związku ze

wzrastającą liczbą Żydów w mieście oraz szopki w Centrum

Handlowym. Dyskutowali o nowych planach na przyszłość.

- Czy mogę coś powiedzieć? - spytała.

**- Jasne - powiedział Frank Roddenberry i Herb Sundersen. Coby
siedział rozparty w fotelu i patrzył w sufit (zapewne
dyskredytującym wzrokiem), z rękoma za głową i wyciągniętymi**

nogami.

- A czy nie można by zorganizować jakichś spotkań połączonych z wykładami dla dorosłych? - zapytała. - Albo forum porozumienia rodziców z dziećmi w jednym ze szkolnych audytoriów?

- A o czym miałyby być te wykłady? - spytał Frank Roddenberry.

- O tym, co interesowałoby wszystkich - powiedziała. - Na

przykład sprawa narkotyków, którą się wszyscy przejmujemy, a

którą *Kronika* pomija milczeniem. O tym, czym jest muzyka rockowa - o czymkolwiek, co tylko zainteresuje ludzi i sprowokuje do dyskusji.

- To interesujące - powiedział Clade Anselm czy Axhelm,

pochylając się do przodu; podrapał się przy tym po głowie. Był

szczupłym nerwowym blondynem o jasnych oczach.

- I może dałoby się wyciągnąć z domów kobiety. W razie gdybyście

jeszcze nie wiedzieli... To miasto jest nieszczęściem dla opiekunek do dzieci. Są bezrobotne!

Wszyscy się roześmieli, a ona poczuła się odprężona.

Zaproponowała jeszcze kilka tematów do dyskusji. Walter

dorzucił parę tematów oraz Herb Sundersen. Padały wciąż nowe

propozycje i ona brała w tym udział, a mężczyźni (poza Cobą - do

diabła z nim!) uważnie jej słuchali. Ike Mazzard, Frank, Walter,

Claude, nawet Herb patrzyli jej prosto w oczy, przytakiwali i

zgadzaali się z nią albo z namysłem zadawali jej pytania, a ona

czuła się naprawdę bardzo dobrze, odpowiadając na nie

dowcipnie i z humorem. Czyżby miała trafić na łamy

ekskluzywnego tygodnika?

Z lekkim wstydem i zdumieniem zauważyła, że szkicuje ją Ike

Mazzard. Siedział w fotelu (obok nadal patrzącego w sufit Dole'a

Coby) i niebieskim długopisem szkicował coś w notesie, który

trzymał na kolanie, raz patrząc na nią raz na swój szkic.

Ike Mazzard! Rysował ją! Mężczyźni umilkli. Zaglądali do swoich

drinków i mieszali resztki lodu.

- Hej - powiedziała z uśmiechem, wiercąc się niepewnie na

kanapie - nie jestem dziewczyną Ike'a Mazzarda.

- Każda nią jest - odpowiedział Mazzard, uśmiechając się do niej i do rysunku.

Spojrzała na Waltera, uśmiechnęła się z zakłopotaniem i

wzruszyła ramionami.

Ponownie spojrzała na Mazzarda i nie poruszając głową - na

pozostałych mężczyzn. Patrzyli na nią, uśmiechając się nerwowo.

- Ależ on wszystkich uciszył - powiedziała.

- Zrelaksuj się i zachowuj się swobodnie - powiedział Mazzard.

Odwrócił kartkę i znów szkicował.

- Nie sądzę, aby b-było p-potrzebne jeszcze jedno boisko do

koszykówki - odezwał się Frank.

Joanna usłyszała wołanie Kim, lecz Walter zatrzymał ją, odstawił

swoją szklankę, wstał i poszedł na górę.

Panowie wznowili temat nowych projektów. Odezwała się raz czy

dwa, odwracając głowę, świadoma tego, że Mazzard obserwuje ją

cały czas i rysuje. I sprostaj tu zadaniu, kiedy rysuje cię Ike

Mazzard! Robił to zresztą tylko dla zabawy, przecież nie była tą

jedyną, którą trzeba uwiecznić. A dlaczego panowie stali się nagle tacy spięci? Mówili jakby z przymusu, półsłówkami. A Herb

Sundersen ciągle się czerwienił.

Nagle poczuła się, jakby była zupełnie naga, jakby Ike Mazzard rysował ją w nieprzyzwoitych pozach.

Skrzyżowała nogi i to samo chciała uczynić z rękoma, ale nie zrobiła tego. Chryste, Joanno, to tylko dla szpanu! On chce ci zaimponować, to wszystko. Jesteś przecież ubrana.

Walter wrócił i nachylił się nad nią. - Miała tylko zły sen - powiedział. Wyprostował się i zapytał: - Może komuś dolać? Diz?

Frank?

- Ja proszę odrobinę - powiedział Mazzard, patrząc na nią i dalej rysując.

- Czy łazienka jest tam? - spytał Herb wstając. Rozmowa toczyła się dalej, ale już bardziej swobodnie. Nowe projekty. Stare projekty. Mazzard schował długopis do kieszeni marynarki i uśmiechnął się.

- Wreszcie! - odetchnęła i zaczęła się wachlować. Coba podniósł głowę, ręce nadal miał na karku, a brodę na piersiach i spojrzał na notatnik na kolanach Mazzarda. Mazzard odwracał strony, patrząc na Cobę, a Coba przytaknęła i powiedział. - Nie przestajesz mnie zadziwiać.

- Czy i ja mogę zobaczyć? - spytała.

- Oczywiście! - odpowiedział Mazzard z uśmiechem i unosząc się lekko, pokazał jej otwarty notes.

Walter też zajrzał, a Frank przysunął się bliżej, żeby też zobaczyć.

Były to jej portrety, strona po stronie, małe, dokładne i upiększone jak zwykle w stylu Mazzarda. Portrety en face, z profilu i półprofilu, z uśmiechem, ze ściągniętymi brwiami.

- Są piękne - powiedział Walter, a Frank dodał: - Świetne, Ike!

Claude i Herb też podeszli.

Przejrzała wszystkie rysunki: - Są cudowne. Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że są absolutnie wierne.

- Przecież są! - zaprzeczył Mazzard.

- Niech ci Bóg da zdrowie.

Zwróciła mu notes, a on położył go na kolanie i przekartkował.

Wreszcie wyciągnął długopis, napisał coś na którejś stronie, wyrwał ją i dał Joannie.

Był to jeden z portertów z półprofilu, bez uśmiechu, z charakterystycznym podpisem, małymi literami "ike mazzard".

Pokazała to Walterowi, który powiedział.

- Dzięki, Ike.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Uśmiechnęła się do Mazzarda: - Dziękuję. Wybaczam ci, że w młodości wpędzałeś mnie w kompleksy. - Uśmiechnęła się do wszystkich. - Komu dać kawy?

Wszyscy chcieli, oprócz Claude'a, który poprosił o herbatę.

Poszła do kuchni i położyła rysunek na lodówce. Jej portret narysowany przez Ike'a Mazzarda! Czy przypuszczałyby, kiedy jeszcze w domu jako jedenasto-, dwunastoletnia dziewczynka,

przeładowała żurnale mamy? To głupie, że tak się tym teraz przejęła, to było po prostu mile ze strony Mazzarda, że ją narysował. Uśmiechając się, nalala wody do ekspresu, nasypała kawy i włączyła go. Następnie zamknęła puszkę od kawy i odwróciła się. Coby stał oparty o drzwi kuchenne i obserwował ją. Ręce miał skrzyżowane, a ramieniem opierał się o framugę drzwi. Wyglądał godnie w zielonkawym golfie (pasującym do koloru oczu) i szarym sztruksowym garniturze. Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Lubię obserwować kobiety przy pracy domowej.

- To trafił pan do właściwego miasteczka - odpowiedziała.

Wrzuciła łyżeczkę do zlewu i postawiła puszkę z kawą do szafki.

Coby nadal ją obserwował.

Marzyła o tym, by wszedł Walter.

- Dlaczego nazywają pana Diz? - spytała, wyciągając dzbanek do herbaty dla Claude'a. - Nie pasuje to do pana.

- Kiedyś pracowałem w Disneylandzie. Roześmiała się, idąc do

zlewu: - A tak naprawdę?

- Kiedy to prawda.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Nie wierzy mi pani? - spytał.

- Nie.

- Dlaczego?

Pomyślała przez chwilę i już wiedziała.

- Dlaczego? - naległa. - Proszę powiedzieć. Do diabła, powie mu.

- Nie wygląda pan na kogoś, kto lubi uszczęśliwiać innych.

'tym stwierdzeniem prawdopodobnie na zawsze

przekreśliła szansę kobiety na wejście do uświęconego i

nietykalnego Stowarzyszenia Mężczyzn.

Coba spojrział na nią. Dyskredytującym wzrokiem.

- Jak mało pani wie.

Odwrócił się z uśmiechem i poszedł.

- Niech mogę powiedzieć, że bym była entuzjastką El Presidente -

powiedziała rozbierając się.

- Ani ja. Jest zimny jak lód. Ale nie będzie wiecznie sprawować tej funkcji.

- Oby nie za długo - odpowiedziała - inaczej kobiety nigdy się tam nie znajdą. Kiedy robicie wybory?

- Zaraz na początku roku.

- Kim on jest z zawodu?

- Pracuje w firmie Burnham-Massey na Route Ninę. Tak jak i

Claude.

- A propos, jakie on ma nazwisko?

- Claude? Axhehn.

Kim zaczęła płakać, chyba miała gorączkę. O trzeciej nad ranem

zmierzyli jej temperaturę (miała prawie 39 *), potem czytali *Drę*

Spocka, dzwonili do doktora Varry'ego, robili zimne okłady i nacierali spirytusem.

Bobbie znalazł wreszcie kogoś normalnego.

- Nazywa się Charmaine Wimperis i jeśli lekko zmrużyć oczy,

wygląda jak Raquel Welch. Mieszkają na Burgess Ridge w

nowoczesnym domku, wartym ze dwieście tysięcy dolarów. Mają

gosposię, ogrodnika i - teraz słuchaj - kort tenisowy.

- Naprawdę?

- Wiedziałam, że to ciebie wyciągnie z piwnicy. Jesteś zaproszona na tenisa i na lunch. Przyjdę po ciebie około jedenastej

trzydzieści.

- Dzisiaj? Nie mogę! Kim jest jeszcze w domu.

- Nadal?

- Nie można by tego przelożyć na środę? Albo czwartek - byłoby

jeszcze lepiej.

- Środa - zdecydowała Bobbie. - Uzgodnię z nią i zadzwonię do

ciebie.

Trach! Bach! Charmaine była dobra, stanowczo za dobra. Piłka

latała ze świstem raz w jedną, raz w drugą stronę. Joanna musiała się bardzo uwijać, żeby zdążyć ją odbić. Pobieгла za nią, ale

Charmaine ścięła piłkę w lewy róg kortu i w ten sposób wygrała

seta sześć do trzech, a poprzedniego sześć do dwóch.

- Boże, mam już dość! - powiedziała Joanna. - Co za klęska!

- Jeszcze jeden set! - wołała Charmaine, cofając się do linii

serwowej. - No, chodź, zagrajmy jeszcze raz!

- Już nie mam siły. Jutro nie będę mogła w ogóle chodzić! -

podniosła piłkę. - Chodź Bobbie, ty

zagraj!

Bobbie siedziała na trawie ze skrzyżowanymi nogami po drugiej

stronie siatki, z twarzą wystawioną do

słońca.

- Na miłość boską! Nie grałam w tenisa od czasu ostatniego obozu

harcerskiego.

- Już ostatni raz - zwołala Charmaine. - Joanno, zagraj jeszcze

jeden raz.

- W porządku, ale tylko jeden. Wygrała Charmaine.

- Wykończyłaś mnie, ale było fantastycznie!

- powiedziała Joanna, kiedy schodziły z kortu. - Dzięki!

Charmaine, dotykając rącznikiem wystających policzków,

powiedziała: - Musisz nabrać wprawy, to wszystko. Świetnie

serwujesz.

- Cholernie dużo mi to dało.

- Będiesz często grać? Jedyni gracze, jakich tu mam, to dwaj nastolatki, których podniecam.

- Przyślij ich do mnie - powiedziała Bobbie, wstając z ziemi. Poszły w kierunku domu po wyłożonej płytkami ścieżce.

- Świetny kort - powiedziała Joanna, wycierając ręcznikiem ramię.

- To go używaj - odpowiedziała Charmaine. - Kiedyś grywałam codziennie z Ginnie Fisher. Znasz ją może? Ale wystawiła mnie do wiatru. Ty tego przypadkiem nie zrób, dobrze? Przyjdiesz jutro?

- O nie, nie mogę!

Usiadły na tarasie pod parasolem z napisem Cinzano, a lekko siwiejąca służąca, Nettie, przyniosła im dzbanek krwawej mary, miskę sosu ogórkowego i krakersy.

- Ona jest wspaniała - odezwała się Charmaine.

- Niemiecka panna - gdybym kazała jej lizać buty, zrobiłaby to. A ty, Joanno, spod jakiego jesteś znaku?

- Amerykański Byk.

- Jeśli jej każesz lizać buty, napluje ci w twarz - powiedziała Bobbie. - Nie wierzysz chyba w te bzdury, co?

- Oczywiście, że wierzę - powiedziała Charmaine, nalewając cocktail. - Ty też byś uwierzyła, gdybyś podeszła do tego z otwartym umysłem (Joanna zmrużyła oczy: może to niezupełnie

Raquel Welch, ale cholernie blisko).

- Ginnie dlatego mnie wystawiła do wiatru, że jest spod Bliźniąt, a to bardzo zmienne natury. Byki są raczej stałe i można na nich

polegać. Masz tu tenisa pod dostatkiem.

- Ten konkretny Byk ma dom, dwójkę dzieci i nie ma niemieckiej

Panny - zauważyła Joanna.

Charmaine miała jedno dziecko, dziewięcioletniego syna.

Nazywał się Merrill. Jej mąż, Ed, był producentem filmowym.

Sporządzili się do Stepford w lipcu. Tak, Ed też zapisał się do

**Stowarzyszenia, a Charmaine nie przejmowała się zbytnio
dyskryminacją płci.**

- Wszystko mi odpowiada, co może go wyciągnąć z domu na noc -

powiedziała. - On jest Strzelcem, a ja Skorpionem.

- A więc tak - powiedziała Bobbie, wkładając do ust zamoczonego

w sosie krakersa.

- To bardzo niedobre połączenie - mówiła Charmaine. - Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz.

- Niedobre? Pod jakim względem? - spytała Joanna, co było

dużym błędem. Charmaine opowiedziała

im w szczegółach o swoich konfliktach z Edem na tle

towarzyskim, emocjonalnym, a nade wszystko seksualnym. Nettie

podawała potrawkę z homara w pikantnym sosie, doprawionym

białym wytrawnym winem, ze specjalnie przyrządzonymi

ziemniakami.

- Moje biedne biodra - westchnęła Bobbie, nakładając na talerz potrawkę, a Charmaine kontynuowała opowieść z pikantnymi szczegółami. Ed był maniakiem seksualnym i prawdziwym

dziwakiem.

- Specjalnie dla mnie zamówił w Anglii kostium gumowy i Bóg

wie, ile za niego zapłacił. Gumowy? "Wsadź to na jedną ze swoich

sekretarek", powiedziałam, "ale mnie w to nie wsadzisz". Było tam mnóstwo suwaków i zamków, a Skorpiona nie można uwięzić

w czymś takim, w przeciwieństwie do Panny, której powołaniem

jest służenie innym. Skorpion zawsze chodzi własną drogą.

- Gdyby Ed wiedział wtedy to, co ty wiesz teraz - powiedziała

Joanna.

- To nic by nie zmieniło, on za mną szaleje. typowy Strzelec.

Nettie przyniosła ciastka z melonami i kawę. Bobbie jęknęła.

Charmaine opowiedziała jeszcze o innych dziwakach, których

poznała, kiedy była jeszcze modelką. Odprowadziła je do

samochoду Bobbie: - Posłuchaj, Joanno - powiedziała - wiem, że

jesteś zajęta, ale gdybyś kiedykolwiek miała chwilę wolnego

czasu, wpadnij do mnie. Nie musisz nawet dzwonić; przeważnie

jestem w domu.

- Dzięki, chętnie skorzystam - odpowiedziała

Joanna. - I dziękuję za dzisiejszy dzień. Było wspaniale.

- Pamiętaj: o każdej porze - przypomniała Charmaine. Nachyliła

się do okna. - Zróbcie mi przyjemność i poczytajcie *Horoskopy*

Londy Goodman. Przeczytajcie, a zobaczycie, ile w tym prawdy.

Możecie je dostać w drogerii w Centrum Handlowym. Przeczy-

tacie? Proszę was. Przytaknęły z uśmiechem i obiecały, że to

zrobią.

- Ciao! - zawołała, machając im na pożegnanie.

- Może nie jest idealnym materiałem do NOK-u, ale przynajmniej

nie jest zakochana w swoim odkurzaczu - powiedziała Bobbie.

- Jest naprawdę piękna - przyznała Joanna.

- Prawda? Nawet w tych stronach, gdzie musisz przyznać - jest

wiele ładnych kobiet, choć nie są najmądrzejsze. Co za

małżeństwo! Co ty na tę sprawę z kostiumem? A ja myślałam, że

tylko Dave miewa wariackie pomysły!

- Dave? - spytała Joanna, przyglądając się jej. Bobbie uśmiechnęła się z boku:

- Nie wyciągniesz ze mnie żadnych zwierzeń - powiedziała. -

Jestem spod znaku Lwa i lubię zmieniać temat. Idziecie z

Walterem w sobotę do kina?

Dom kupili od państwa Pilgrimów, którzy mieszkali w nim tylko

dwa miesiące i przeprowadzili się do Kanady. Pilgrimowie zaś

kupili go od niejakiej pani McGrath, która z kolei nabyła go przed jedenastoma laty od budowniczego. Tak więc większość gratów

w komórce to pozostałość po pani McGrath. Właściwie nie należało nazywać ich gratami: były tam dwa dobre krzesła w stylu kolonialnym, które Walter zamierzał w przyszłości odnowić; komplet dwudziestotomowej encyklopedii, który obecnie stał na półce w pokoju Pete*a; były pudła z narzędziami i różnymi drobiazgami, które mogły się przydać w przyszłości. Pani McGrath zbierała je widocznie na zapas.

Joanna przeniosła większość tych "nie-gratów" w daleki kąt piwnicy, jeszcze nim hydraulik zainstalował zlew, a teraz przeniosła resztę rzeczy - puszki po farbie, paczki azbestu, dachówki, 'tymczasem Walter walił młotkiem w stół ze sklejk, a Pete podawał mu gwoździe. Kim pojechała z Carol van Sant i jej córkami do biblioteki.

Joanna rozwinęła paczkę zapakowaną w pośliską gazetę, w której znalazła pędzel o szerokości 2,5 cm. Jego czyste włosie było sztywne, ale jeszcze giętkie. Zawijała go z powrotem w tę samą stronę starej *Kroniki*, gdy wpadł jej w oczy nagłówek: Betty Friedan w Klubie Kobiet. Odwróciła stronę.

- Chryste Panie - powiedziała. Pete spojrział na nią, a Walter, waląc młotkiem, spytał:

- Co się stało?

Wyciągnęła pędzel, położyła obok i trzymając w obu dłoniach skrawek gazety, czytała. Walter przestał stukać, odwrócił się i

spojrzał na nią.

- Co to jest? - spytał.

Przez chwilę dalej czytała, potem spojrzała na niego, ponownie na gazetę i znów na niego.

- Tu istniał Klub Kobiet - powiedziała. - Betty Friedan

przeprowadzała z nimi wywiad. Kit Sundersen była

przewodniczącą. Żony Dale'a Coby i Franka Roddenberry'ego były

członkiniami zarządu.

- Żartujesz? - spytał Walter.

Spojrzała na gazetę i zaczęła czytać: *"Betty Friedan, autorka*

"Tajemnic kobiet" spotykała się we wtorek wieczorem z

członkiniami Klubu Kobiet w Stepford. Spotkanie odbyło się w

domu przewodniczącej, pani Sundersen przy Fairview Lane.

Ponad pięćdziesiąt kobiet oklaskiwało panią Betty Friedan, gdy

przytaczała przykłady niesprawiedliwości i zawodów, jakie

spotykają współczesne gospodynie domowe".

Spojrzała na niego.

- Mogę teraz ja postukać? - spytał Pete. Walter dał mu młotek.

- Kiedy to było? - spytał. Spojrzała na gazetę.

- Na tym skrawku nie ma żadnej dary, ale jest zdjęcie członkiń

zarządu. "Pani Margolies, Coba, autorka - Betty Friedan, pani

Sundersen, Roddenberry i pani Anderson".

Rozłożyła przed nim połówkę strony, a on podszedł i wziął ją do

ręki.

- A to ci dopiero numer - powiedział, patrząc na zdjęcie i artykuł.

- Przecież rozmawiałam z Kit Sandersen. Słowem o tym nie wspomniała i jak cała reszta - nie miała czasu na spotkanie.

- To musiało być jakieś sześć, siedem lat temu

- powiedział Walter, biorąc w palce brzeg poślizkłej kartki.

- Albo jeszcze wcześniej - powiedziała. - *Tajemnice kobiet*

wychodziły jeszcze, gdy pracowałam, pamiętasz? Andreas przynosił mi swoje recenzje.

Kiwnął głową i odwrócił się do Pete,a, który zawzięcie walił

młotkiem w blat stołu warsztatowego, - Spokojnie, chłopcze, bo

powybijasz dziury.

Ponownie odwrócił się do skrawka gazety.

- To ci dopiero - powiedział. - Pewnie umarło śmiercią naturalną.

- Z ponad pięćdziesięcioma członkiniami? Przyjmującymi

owacyjnie Betty Friedan? - spytała.

- W każdym razie już nie istnieje - powiedział Walter, odkładając stronę gazety.-Albo mają najgorszego na świecie rzecznika

prasowego. Kiedy zobaczę się z Herbem, zapytam go, co się stało.

Wrócił do Pete'a: - Zrobiłeś dobry kawał roboty.

Joanna spojrzała na artykuł i potrząsnęła głową:

- Nie do wiary! Kim były pozostałe kobiety? Nie mogły się przecież wszystkie wyprowadzić.

- Przecież nie rozmawiałaś ze wszystkimi.

- Ale Bobbie prawie tak - powiedziała. Złożyła gazetę i położyła na pudełku z narzędziami. Leżał tam pędzel, podniosła go.

- Potrzebny ci może pędzel? - spytała. Walter odwrócił się i

spojrzał na nią.

- Nie każesz mi chyba malować tego wszystkiego.

- Nie, tylko był zawinięty w tę stronę.

- Aha. - Odwrócił się do stołu.

Odłożyła pędzel, kucnęła i zebrała kilka dachówek.

- Jak mogła nawet o tym nie wspomnieć? - powiedziała. - Przecież

była przewodniczącą.

Gdy tylko Bobbie i Dave wsiedli do samochodu, powiedziała mi o

swoim odkryciu.

- Jesteś pewna, że to nie jest jedna z tych plotkarskich gazet? -

spytała Bobbie. - "Fred Smith sypia z Elizabeth Taylor?"

- To nasza *Kronika* - powiedziała Joanna. - Oto dolna część strony tytułowej. Spójrz.

Wręczała im, a oni rozpostarli ją. Walter włączył górną lampkę.

- Mogłaś zgarnąć dużo forsy, gdybyś się ze mną założyła, a potem

mi to pokazała - powiedział Dave.

- Nie pomyślałam o tym,

- Ponad pięćdziesiąt kobiet! - powiedziała Bobbie. - Kim, u diabła, były? I co się z nimi stało?

- Ja też chciałabym wiedzieć - powiedziała Joanna. - Oraz

dłaczego Kit Sundersen nic mi o tym nie wspomniała.

Porozmawiam z nią jutro.

Pojechali do Eastbridge i stanęli w kolejce po bilety na ostatni hit sezonu. Pary czekające pod kinem były wesołe i rozmowne,

śmiały się w grupkach cztero-i sześciuosobowych, zerkając od

czasu do czasu na koniec kolejki i machając innym parom. Nie

było nikogo znajomego poza starszymi państwem z Towarzystwa

Historycznego, których rozpoznała Bobbie, i siedemnastoletnim

synem McCormicków z dziewczyną,

którzy trzymali się za ręce, udając bardziej dorosłych, niż byli.

Wszyscy się zgodzili, że film był "cholernie dobry", a po nim pojechali do Bobbie i Dave'a, gdzie panował istny chaos. Chłopcy

jeszcze nie spali, a pies galopował po całym mieszkaniu. Kiedy

Bobbie i Dave pozbyli się opiekunki, chłopców i psa, poszli

wszyscy na kawę i sernik do salonu, który wyglądał, jakby

przeszedł po nim huragan.

- Wiedziałaś, że nie jestem tą jedyną, której nie można się oprzeć

- powiedziała Joanna, potrząc na portret Bobbie w wykonaniu

Dce*a Mazzarda, który Bobbie oprawiła w ramki i powiesiła nad szafką.

- Dcc Mazzard nie przepuści żadnej, nie wiedziałaś o tym? -

powiedziała Bobbie, poprawiając obrazek przekrzywiony w rogu

ramki, przez co wisiał jeszcze bardziej krzywo niż poprzednio.

- O rany, chciałabym wyglądać chociaż w połowie tak dobrze jak na tym obrazku - westchnęła.

- Wyglądasz dobrze taka, jaka jesteś - powiedział stojący za nimi Dave.

- Czyż on nie jest cudowny? - powiedziała Bobbie do Joanny.

Odwróciła się i pocałowała Dave,a w policzek. - Ale to nie zmienia faktu, że to ty musisz jutro rano wcześniej wstać.

- Joanna Eberhart - powiedziała Kit Sundersen i uśmiechnęła się.

- Jak się masz? Wejdiesz do środka?

- Tak, chętnie, jeśli masz chwilkę czasu.

- Oczywiście, że mam, wejdź, proszę cię.

Była przystojną szatynką z doleczkami w policzkach i wyglądała tylko odrobinę starzej niż na niezbyt udanym zdjęciu w *Kronice*.

Mogła mieć około trzydziestu trzech lat, oceniła Joanna,

wchodząc do holu. Podłoga wyglądała na jedną z tych lustrzanych, pokazywanych w reklamach, a z salonu dochodziły odgłosy meczu

koszykówki.

- Herb i Gary Claybrook są w środku - powiedziała Kit, zamykając drzwi wejściowe. - Chcesz się z nimi przywitać?

Joanna podeszła do łuku łączącego salon z holem i zajrzała do środka: Herb i Gary siedzieli na kanapie i oglądali mecz w dużym kolorowym telewizorze. Gary właśnie jadł kanapkę. Na niskiej ławie stał talerz z kanapkami i dwie puszki piwa. Pokój był w beżach, brązach i zieleni, urządzony w stylu kolonialnym, nieskazitelnie czysty. Joanna poczekała, aż jakiś wycofujący się zawodnik złapie piłkę, i powiedziała "cześć".

Herb i Gary odwrócili się z uśmiechami. - Witaj, Joanno - powiedzieli, a Gary spytał: - Jak się masz?

- Czy Walter też jest? - zapytał Herb.

- Dziękuję. Nie, nie ma go - odpowiedziała. - Przyszłam porozmawiać z Kit. Dobry mecz?

Herb nie zareagował na pytanie, a Gary powiedział: - Bardzo

dobry.

Kit stała obok i pachniała perfumami mamy Waltera.

- Chodźmy do kuchni - powiedziała.

- Bawcie się dobrze - powiedziała Joanna Herbowi i Garemu.

Gary, który właśnie napoczywał kanapkę, błysnął uśmiechem, a

Herb powiedział: - Dzięki.

Poszła z Kit po wspaniałej, błyszczącej posadzce.

- Napijesz się kawy?

- Nie, dziękuję.

Sunęła z nią do kuchni pachnącej kawą. Kuchnia była oczywiście nieskazitelnie czysta i uporządkowana, poza otwartą suszarką na ubrania i koszem do bielizny, stojącym na blacie. W pralce wirowało ubranie, a podłoga tu jeszcze bardziej przypominała błyszczącą wykładzinę.

- Mam zaparzoną, więc to żaden problem - powiedziała Kit.

- W tej sytuacji...

Usiadła przy okrągłym, zielonym stole, podczas gdy Kit wyciągnęła filiżankę i spodek z uporządkowanej szafki, w której na koszyczkach wisiały filiżanki, a talerze były poustawiane na suszarce do naczyń.

- Jest tu teraz cicho i przyjemnie - powiedziała Kit, zamknęła szafkę i podeszła do kuchenki. W niebieskiej sukience miała figurę prawie tak świetną jak Charmaine.

- Dzieciaki są u Gary'ego i Donny, a ja piorę rzeczy Marge

McCormick. Ma ostatnio jakieś problemy z chodzeniem.

- To przykre - powiedziała Joanna.

Kit podniosła przykrywkę ekspresu i nalala kawy.

- Jestem pewna, że za dzień lub dwa wydobrzeje - powiedziała. -

Co weźmiesz, Joanno?

- Mleko. Bez cukru, proszę.

Kit podeszła z filiżanką do lodówki.

- Jeśli znów wracasz do tego spotkania, to przykro mi, ale nadal

nie mam czasu.

- Nie o to chodzi - powiedziała Joanna obserwując, jak Kit otwiera lodówkę. - Chciałam się tylko dowiedzieć, co się stało z Klubem

Kobiet.

Kit stała przy otwartej lodówce odwrócona plecami do Joanny.

- Klub Kobiet? - powtórzyła. - Boże, to było tyle lat temu. Rozpadł się.

- Dlaczego? - spytała Joanna. Kit zamknęła lodówkę i wyciągnęła szufladę szafki.

- Niektóre kobiety wyprowadziły się stąd - powiedziała. Zamknęła szufladę i odwróciła się, kładąc łyżeczkę na spodku. - A pozostałe przestały się tym interesować. Jak na przykład ja. Podeszła do stołu, patrząc na filiżankę. - Nie dokonałyśmy niczego pożytecznego, a spotkania stały się z czasem nudne.

Postawiła filiżankę na spodku i podsunęła Joannie.

- Nie za mało mleka? - spytała.

- Nie, wystarczy. Dziękuję. Dlaczego nic mi o tym nie wspomniałaś, kiedy tu byłam ostatnio?

Kit uśmiechnęła się, a dolki w policzkach pogłębiły się.

- Bo nie pytałaś. Gdybyś spytała, powiedziałabym ci, to żadna tajemnica. Może chcesz ciasta albo ciasteczek?

- Nie, dziękuję.

- Muszę poskładać te rzeczy - powiedziała Kit, odchodząc od stołu.

Joanna patrzyła, jak zamykała suszarkę i wyciągała coś białego ze sterty ubrań. Strząsnęła to - koszulka z krótkim rękawkiem.

Joanna spytała, co się stało Billowi McCormickowi? Czy on nie umie włączyć pralki? Myślała, że jest jednym z geniuszy

technicznych.

- Zajmuje się Marge - powiedziała Kit, składając koszulkę. -

Prawda, że ładnie się uprała? - zauważyła z uśmiechem i włożyła koszulkę do kosza na bieliznę.

Zupełnie jak aktorka z reklamy.

Ależ to właśnie to, pomyślała Joanna. Wszystkie żony ze Stepford były aktorkami z reklam, zadowolone z proszków, past do podłóg, preparatów do czyszczenia, szamponów i dezodorantów. Ładne aktorki z dużym biustem i małym mózdzkiem, grające nieprzekonująco role podmiejskich gospodyń domowych. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Kit?

Tamta spojrzała na nią.

- Musiałaś być bardzo młoda, gdy zostałam przewodniczącą Klubu,

a to znaczy, że jesteś inteligentna i energiczna. Czy teraz jesteś szczęśliwa? Powiedz mi prawdę, czy nie czujesz, że należy ci się

coś od życia?

Kit spojrzała na nią i skinęła potakująco głową.

- Jestem szczęśliwa, tak. I nie wydaje mi się, że coś mi się jeszcze należy od życia. Herb ma odpowiedzialną pracę, nie mógłby jej

efektywnie wykonywać, gdyby nie moja pomoc. Stanowimy jedną

całość, wychowujemy dzieci, robimy badania optyczne, mamy

czysty, wygodny dom i pracujemy społecznie.

- Poprzez Stowarzyszenie Mężczyzn.

- Tak.

- Czy spotkania Klubu Kobiet były nudniejsze od obowiązków domowych?

Kit zastanowiła się przez chwilę: - Nie, ale nie były aż tak pożyteczne. Nie pijesz kawy, nie smakuje ci?

- Nie, tylko czekałam, aż ostygnie - podniosła filiżankę.

- Ach, tak - powiedziała Kit, uśmiechnęła się i wróciła do składania bielizny.

Joanna spoglądała na nią i zastanawiała się, czy zapytać, kim były te inne kobiety? Ale nie, pewnie wszystkie są takie jak Kit. Cóż to zresztą za różnica? Napila się kawy - była mocna, aromatyczna,

najlepsza, jakiej ostatnio kosztowała.

- Jak się czują dzieci? - spytała Kit.

- Dobrze - odpowiedziała. Chciała jeszcze zapytać o gatunek kawy, ale zrezygnowała i wypila jeszcze trochę.

Może i szybki sklepu z artykułami żelaznymi ciekawie by odbijały

światło księżyca, ale tego nie można było przewidzieć. Były z

zupelnie innej strony, niż padało światło. Cest la vie. Przez chwilę krążyła jeszcze po Centrum, ulegając nastrojowi opustoszałej

ulicy z szeregiem pomalowanych na białą drzwi do sklepów,

ulożonych po jednej stronie i ze zboczem wzgórza po drugiej;

biblioteką i domem Towarzystwa Historycznego. Zmarnowała

trochę filmu na latarnie i kosze na śmiecie, ale to był tylko

czarno-biały film. Kot przebiegł ścieżkę prowadzącą od biblioteki.

Był srebrzysto -szary, a jego ciemny cień odbijał się w świetle

księżyca. Przebiegł przez ulicę w kierunku parkingu. Nie,

dziękujemy, nie interesują nas portrety kotów.

Na trawniku należącym do biblioteki ustawiła statyw i robiła

zdjęcia sklepów od frontu, używając

pięć-dziesięciomilimetrowego obiektywu w masie naświetlenia

dziesięć, dwanaście i czternaście sekund. Dziwny kwaśny zapach,

jakby jakiegoś medykamentu, unosił się w powietrzu wraz z

lekkim powiewem idącym zza jej pleców. Przypominał jej coś

**znajomego z dzieciństwa, ale ucieкло jej to. Syrop, który musiała wypić? Zapach jakiejś
zabawki?**

Załadowała rzeczy, zabrała statyw i wycofała się na drugą stronę

**ulicy, gdzie szukała dobrego ujęcia biblioteki. Znalazła je i znów rozstawiła statyw. Biała
deseczka okapu była w świetle księżyca**

jakby otoczona czarną obwódką. Przez okna widać było lekko

oświetlone ściany z półkami pełnymi książek. Nastawiła ostrość

ze szczególną dbałością i, zaczynając od ośmiu sekund, robiła

naświetlania każdego zdjęcia o sekundę dłużej, aż do osiemnastu.

Przynajmniej na jednym z nich powinno wyjść lekko oświetlone

wnętrze biblioteki, bez eksponowania bocznych półek.

Poszła do samochodu po sweter i wracając rozglądała się wokół.

Towarzystwo Historyczne? Nie, budy-

nek był zbyt zaciemniony przez drzewa, a i bez tego był za ciemny.

Ale dom na wzgórzu, siedziba Stowarzyszenia Mężczyzn, miał

zadziwiająco komiczny wygląd: kwadratowy, stary,

dziewiętnastowieczny, solidny i symetryczny, z rozpiętą nad nim

anteną telewizyjną. Cztery wysokie górne okna z podniesionymi

żaluzjami były w pełni oświetlone. Widać było przez nie poruszające się wewnątrz postacie. Odkręciła pięćdziesięcio-milimetrowy obiektyw i zakładała stutrzydziestopięcio-milimetrowy. gdy na szosie pojawiły się światła reflektorów i stawały się coraz jaśniejsze. Na chwilę oślepiły ją zupełnie. Po omacku odkręciła obiektyw i zasłoniła przymrużone oczy.

Samochód zatrzymał się, a światło reflektora zmieniło się w znikający pomarańczony punkt. Zamrugła parokrotnie, mając jeszcze przed oczyma oślepiający blask. Wóz policyjny. Zatrzymał się jakieś dziesięć metrów od niej po drugiej stronie ulicy. Głos mężczyzny w środku samochodu coś cicho powtarzał.

Czekała.

Samochód podjechał bliżej i zatrzymał się. Młody policjant z zupełnie nie policyjnym ciemnym wąsikiem uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Dobry wieczór pani.

Już go kilka razy widziała, między innymi kiedyś w sklepie papierniczym kupował papier karbowany we wszystkich kolorach, jakie mieli.

- Witam - odpowiedziała z uśmiechem. Był w samochodzie sam, musiał więc mówić do nadajnika. O niej?

- Przepraszam, że tak panią oświetliłem. Czy to pani samochód stoi przy poczcie?

- Tak. Nie zaparkowałam go tutaj, bo...

- W porządku, ja tylko sprawdzam. Zmrużył oczy, przyglądając się

aparatu.

- Wygląda na dobry sprzęt. Jaka to firma? - spytał.

- Pentax - odpowiedziała,

- Pentax - powtórzył. Spojrzał na aparat i na nią. - I można nim w nocy robić zdjęcie?

- Trzeba tylko odpowiednio naświetlić.

- Jasne, a ile potrzeba w taką noc jak ta?

- To zależy.

Chciał wiedzieć, jakiego filmu używała, czy była zawodowym

fotografikiem, ile w przybliżeniu kosztuje Pentax i jak to wygląda w porównaniu z cenami innych aparatów.

Starła się nie okazywać zniecierpliwienia, powinna być raczej

zadowolona, że mieszka w miasteczku, gdzie policjant ma czas na

to, by się zatrzymać i porozmawiać chwilę. W końcu uśmiechnął

się i powiedział:

- Chyba lepiej będzie, jeśli pozwolę pani dokończyć pracę.

Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała uśmiechając się.

**Odjechali powoli. Szary kot przebiegł przed światłami
reflektorów.**

**Przez chwilę parzyła za samochodem, a potem odwróciła się, by
zajrzeć przez wizjer i tak manipulowała, aż uzyskała dobre ujęcie budynku Stowarzyszenia
Mężczyzn. Nastawiła ostrość na wysoki,**

**kwadratowy budynek z przechyloną anteną na dachu. W dwóch
górnym oknach było już ciemno, a w innych kolejno opuszczono
żaluzje.**

**Wyprostowała się, spojrzała na budynek i odwróciła się w
kierunku oddalających się światełek samochodu policyjnego.**

**Zameldowała przez nadajnik o jej obecności tutaj, potem zabawił
ją pytaniami, podczas gdy meldunek został odebrany, a żaluzje**

poopuszczane.

Uspokój się, bo zaczynasz dostawać świra! Ponownie spojrzała na budynek. Nie mieliby tam przecież nadajnika. Poza tym czego

mogliby się obawiać z jej strony, że co sfotografuje? Jakąś orgię?

Prostytutki z miasta? Albo jeszcze lepiej - ze Stepford?

“DZIĘKI DUŻEMU OBIEKTYWOWI FOTOGRAFICZNEMU

ODKRYTO SZOKUJĄCĄ TAJEMNICĘ. Wyglądało na to, że pilne

gospodynie przychodzą wieczorami do Stowarzyszenia

Mężczyzn na orgietfd, na czym przyłapała je fotografjka, Nancy

Drew Eberhart z Fairview Lane...”

Uśmiechając się przykucnęła przy wizjerze, poprawiła ramkę i

ostrość i zrobiła trzy zdjęcia pogrążonego w ciemnościach domu.

Dziesięć sekund, dwanaście i czternaście. Jeszcze pocztę i

wznoszący się na tle rozjaśnionych księżycem chmur pusty maszt

flagowy. Właśnie wkładała statyw do samochodu, gdy ponownie

nadjechał wóz policyjny, zwalniając koło niej.

- Mam nadzieję, że wszystkie dobrze wyjdą! - krzyknął młody

policjant.

- Dziękuję! Miło się z panem rozmawiało! -

odkrzyknęła, aby pokryć swoją wielkomięską podejrzliwość.

- Dobranoc! - zawołał policjant.

Niespodziewanie zmarł na uremię wspornik Waltera, a rejestry

zarządzanych przez niego trustów okazały się być niepokojąco

niedokładne. Walter musiał zostać w mieście na dwa dni i

weekend, a później rzadko kiedy wracał przed jedenastą do

domu. Pete przewrócił się w autobusie szkolnym i wybił sobie

dwa przednie zęby. Rodzice Joanny złożyli im krótką, trzydniową

wizytę w drodze na wakacje na Karaibach. Szalenie im się

spodobał domek i Stepford, a mama Joanny podziwiała Carol van

Sant:

- laka pogodna i sprawna! Spróbuj się od niej nauczyć czegoś,

Joanno.

Zepsuła się zmywarka do naczyń oraz pompa; nadeszły ósme urodziny Pete'a, wraz z koniecznością kupienia prezentów, urządzenia urodzinowego przyjęcia i zrobienia tortu.

Kim bolało gardło i została w domu przez trzy dni. Okres Joanny się opóźniał, ale dzięki Bogu i pigułce przyszedł.

Miała okazję grywać w tenisa i powoli wracała do wprawy, choć nadal nie mogła konkurować z Charmaine. W ciemni zrobiła próbne powiększenia Murzyna na tle odjeżdżającej taksówki, wywołała i zrobiła odbitki z Centrum. Dwie wyglądały szczególnie dobrze. Zrobiła kilka zdjęć Pete'owi, Kim i Scottowi Chamalianowi bawiącym się sprzętem gimnastycznym.

Widywała Bobbie prawie codziennie. Razem robiły zakupy, a czasem i Bobbie przywoziła do niej po szkole młodszych chłopców, Adama i Kenny'go. Raz Joanna, Bobbie i Charmaine wystroili się i poszły na lunch z przystawkami do francuskiej restauracji w East-bridge.

W końcu października Walter znów zaczął wracać do domu na obiady, jako że sprostował i zatuszował dowody malwersacji zmarłego wspólnika. W domu wszystko szło dawnym torem i wszyscy byli zdrowi. Wykroili dziury w olbrzymiej dyni z okazji Święta Hallo-ween, Pete jako Batman bez przednich zębów chodził po sąsiadach żądając okupu, w zamian za co obiecał im

nie robić psikusów, Kim zaś była Heckelem czy Jecke-lem (ale twierdziła, że jest jednym i drugim). Joanna rozdała różnym dzieciom pięćdziesiąt torebek cukierków i musiała się w końcu uciec do owoców i ciastek; w przyszłym roku lepiej się zaopatrzy.

W pierwszą sobotę listopada wydali obiad, na który zaprosili:

Bobbie i Dave'a, Charmaine i Eda, a z miasta: Shepa i Sylwię

Tackoverów oraz Donna Ferraulta, jednego ze

współpracowników Waltera, z żoną, Lucy. Mieszkanka Stepford,

którą Joanna wzięła do pomocy, była zachwycona, że dla odmiany

może pracować w Stepford.

- tyle się tu kiedyś działo! - mówiła. - Całe grono kobiet walczyło o mnie! A teraz muszę jeździć do Norwood, Eastbridge i New

Sharon! Nie cierpię jeździć nocą.

Była tłuściutką, zwinną kobietką o białych włosach i nazywała się Mary Migliardi.

- To przez to Stowarzyszenie Mężczyzn - powiedziała, wbijając

wykałaczki w krewetki ułożone na półmisku. - Skończyły się

wszelkie rozrywki, gdy tylko wszczęli działalność! Mężczyźni

wychodzą, kobiety zostają! Gdyby mój staruszek jeszcze żył,

musiałby mnie najpierw ukatrupić, nim przyłączyłby się do nich!

- Ale to już dość stara organizacja, prawda? - spytała Joanna,

wytrząsając wodę z salaty w wyciągniętych rękach, gdyż była już

ubrana w elegancką suknię.

- Żartuje pani? - zawołała Mary. - To zupełnie coś nowego! Ma

jakieś sześć, góra siedem lat. Wcześniej był i Związek

Obywatelski, i Towarzystwo Ochrony Łosi, i Amerykański

Związek Kombatantów - wbijała wykałaczki w krewetki z

niedoścignioną prędkością - ale gdy to Stowarzyszenie rozpoczęło

działalność, wszystkie organizacje się połączyły. Poza Związkiem

Kombatantów; oni pozostali niezależni. A tamci mają tylko sześć,

siedem lat. Czyżby tylko tyle miała pani na przystawkę?

- W lodówce jest jeszcze rolada - powiedziała Joanna. Wszedł

Walter z pojemnikiem do lodu w ręce. Wyglądał bardzo

szykownie w pepitowej marynarce.

- Mamy szczęście, Pete nawet nie chce zejść na dół. Wstawiłem

mu do pokoju telewizor.

Otworzył zamrażarkę i wyciągnął torebkę z lodem.

- Mary twierdzi, że Stowarzyszenie Mężczyzn jest całkiem nową organizacją - powiedziała Joanna.

- Nie jest nowa - odpowiedział Walter, zrywając górę torebki.

Kawalek białej chusteczki higienicznej wisiał na jego brodzie przyklejony zaschniętą kropką krwi.

- Ma sześć lub siedem lat - powiedziała Mary.

- Tam, skąd my pochodzimy, uważaloby się je za stare.

- Myślałam, że to sięga czasów Purytanów - powiedziała Joanna.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytał Walter, wrzucając kostki lodu do pojemnika.

Wymieszała sałatkę: - Nie wiem. Może sprawił to ten stary budynek i jego położenie.

- To był dom Terhune'ów - powiedziała Mary, rozciągając folię na

ułożone na półmisku krewetki. - Nabyli go za bezcen na licytacji, został sprzedany na pokrycie zaległych podatków, a poza tym nie

było chętnych.

Przyjęcie wypadło fatalnie. Lucy Ferrault była na coś uczulona i

nie przestawała kichać: Sylvia była czymś zatroskana; Bobbie, na

którą Joanna przede wszystkim liczyła jako na gwiazdę w

konwersacji, miała zapalenie krtani. Charmaine zrobiona na

wampa była prowokująca i uwodzicielska w białej jedwabnej

sukni z wcięciem aż do pępka; Dave i Shep ulegli jej czarowi i

usiedli przy niej. Walter (do diabła z nim!) omawiał w kącie

sprawy prywatne z Donem Ferraultem. Ed Wimperis - duży,

zwalisty, w dobrze uszytym garniturze, był kompletnie zalany i

mówił o telewizji; ści-skając Joannę za ramię, tłumaczył powoli i dokładnie, dlaczego kasety video wszystko zmienia. Przy obiedzie

Sylvia przestała się martwić i zaczęła atakować podmiejskie

społeczności, które wzbogacają się na ulgach dla przemysłu

lekkiego. Ed Wimperis przewrócił kieliszek wina. Joanna

próbowała zainicjować jakąś lekką dyskusję, a Bobbie dzielnie

chrypiała, tłumacząc, dlaczego ma zapalenie krtani: nagrywała

coś na magnetofon dla znajomego Dave'a, któremu się wydaje, że

jest "cholernym Henrym Higginsem". Ale Charmaine, która go

nie знаła i też dla niego nagrywała, przerwała jej mówiąc:

- Nigdy nie śmieję się z tego, co robi Koziorożec; on nie robi, lecz tworzy. - Po czym zaczęła analizować, kto z obecnych jest spod

jakiego znaku i jak to wpłynęło na jego usposobienie. Pieczeń była za bardzo spieczona i Walter miał problemy z jej krojeniem.

Suflet urósł, ale nie tak jak powinien, jak zauważyła Mary podając go. Lucy Ferrault znów kichnęła.

**- Nigdy więcej - powiedziała Joanna, gasząc światła na zewnątrz, a Walter stwierdził ziewając:
- Nawet "nigdy" to dla mnie za szybko.**

- Posłuchaj - powiedziała. - Jak ty mogłeś stać w kącie i rozmawiać z Dave'em, podczas gdy na kanapie siedziały jak mumie trzy

kobiety.

**Sylvia zadzwoniła, żeby przeprosić - nie dano jej awansu, na który przecież zasługiwała.
Charmaine zadzwoniła, żeby powiedzieć jak**

świetnie bawili się z Edem i żeby przenieść tenis z wtorku na inny dzień.

- Ed dostał bzika i chce sobie zrobić parodniowy urlop, Merilla

**zostawimy u Dacostów ("na twoje szczęście ich nie znasz") - i mamy się "odnaleźć na nowo".
Co oznacza, że będzie mnie ganiał**

wokół łóżka, a okres mam dostać dopiero w przyszłym tygodniu.

Niech to szlag trafi.

- Czemu nie pozwolisz się złapać? - spytała Joanna.

- Boże. Po prostu nie bawi mnie, kiedy wpycha we mnie swojego dużego kutasa. Nigdy mnie nie bawiło i nigdy nie będzie bawić.

Nie jestem bynajmniej lesbijką, chociaż i tego próbowałam, ale to nic wielkiego. Po prostu nie interesuje mnie seks. I myślę, że tak naprawdę to żadnej kobiety nie interesuje, nawet jeśli jest Rybą.

A ty?

- Nie jestem wprawdzie nimfomanką - powiedziała Joanna - ale oczywiście interesuję się tym.

- Naprawdę, czy po prostu uważasz, że tak wypada?

- Naprawdę.

- Co kto lubi - stwierdziła Channaine - No, to przyjdź w czwartek, dobrze? Na szczęście Ed ma konferencję, z której nie będzie mógł się urwać.

- W porządku, czwartek. Chyba, że coś się stanie.

- Lepiej, żeby się nie stało.

- Ale ochładza się.

- To włóżmy swetry.

Poszła na zebranie Komitetu Rodzicielskiego. Były tam nauczycielki Pete'a i Kim, panna lurner i panna Gair, miłe panie w średnim wieku, które z zapalem odpowiadały na jej pytania o metody nauczania oraz czy i jak sprawdzał się nowy plan autobusów szkolnych. Na zebraniu było niewiele osób; poza grupą nauczycieli, usadowionych w końcu audytorium, było tylko

dziewięć pań i ze dwunastu panów. Przewodniczącą Komitetu

była atrakcyjna blondynka, pani Hollingsworth,

która prowadziła zebranie z uśmiechem, sprawnie, lecz bez pośpiechu.

Kupiła ubranka zimowe dla Pete'a i Kim i dwie pary wełnianych

spodni dla siebie. Zrobiła świetne powiększenia zdjęć "Po

szluzie" oraz "Biblioteki w Stepford" i zabrała dzieci do dentysty.

- Czyżby? - spytała Charmaine, wpuszczając ją do domu.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała. - Przecież mówiłam, że zgadzam się, jeśli mi nic nie przeszkodzi.

Charmaine zamknęła drzwi i uśmiechnęła się do niej. Miała na sobie fartuch, a pod nim spodnie i bluzkę.

- Tak mi przykro, Joanno - powiedziała. - Na śmierć zapomniałam.

- Nie szkodzi, idź się przebierz.

- Nie możemy grać - powiedziała Charmaine. - Raz, że mam mnóstwo pracy.

- Pracy?

- No, w domu.

Joanna przyjrzała się jej uważniej.

- Zwolniliśmy Nettie - mówiła Charmaine. - Nie do wiary, jak ona partaczyła robotę. Na pierwszy rzut oka dom wydaje się czysty, ale zajrzyj po kątach. Kuchnię i salon zrobiłam wczoraj, resztę muszę doprowadzić do porządku dziś. Ed nie powinien żyć w

brudzie.

Joanna nie dowierzała.

- No, dobry żart.

- Ja nie żartuję. Ed jest wspaniałym facetem, a ja byłam leniwie

samolubna. Skończyłam z tenisem i czytaniem książek o

astrologii. Od tej chwili będę robiła to, co dobre dla Eda i Merilla.

Mam szczęście mieć wspaniałego męża i syna.

Joanna spojrzała na raketę, którą trzymała w zaciśniętej dłoni i na Charmaine.

- To świetnie - powiedziała i uśmiechnęła się. - Ale naprawdę nie mogę uwierzyć, że rezygnujesz z tenisa.

- No, to zobaczysz - powiedziała Charmaine. Joanna spojrzała na nią.

- Idź, zobacz - powtórzyła.

Joanna odwróciła się, weszła do salonu, a stamtąd podeszła do

szklanych drzwi. Odsunęła je, słysząc za sobą Charmaine i wyszła

na taras. Spojrzała na zbocze z żuźlową dróżką, przecinającą

trawnik.

Zaladowana fragmentami siatkowego ogrodzenia ciężarówka stała na pokrytej kołami trawie obok kortu tenisowego. Dwie strony ogrodzenia już zniknęły, a pozostałe leżały na płask, na trawie, dłuższa i krótsza. Dwaj mężczyźni klęczeli przy dłuższej części, przecinając ją długimi nożycami. Raz po raz naciskali rączki nożyc i następował lekki trzask. Na środku kortu leżała góra ciemnej ziemi; siatka i słupki zniknęły.

- Ed chce nawierzchnię torfową - powiedziała Charmaine i stanęła

obok niej.

- Ale to jest kort z glinianą nawierzchnią! - powiedziała Joanna, odwracając się.

- To jedyne równe miejsce, jakie tu mamy - odpowiedziała

Charmaine.

- Mój Boże - powiedziała Joanna, patrząc na mężczyzn

pracujących nożycami. - Charmaine, to szaleństwo!

- Ed gra w golfa, a nie w tenisa.

- Co on z tobą zrobił? Zahipnotyzował cię?

- Nie wyglupiaj się - odpowiedziała Charmaine z uśmiechem. - On

jest wspaniałym facetem, a ja szczęśliwą kobietą, która powinna

być mu wdzięczna. Chcesz posiedzieć chwilę? Zrobię ci kawy.

Sprzątam właśnie pokój Merilla, ale przecież możemy przy tym

rozmawiać.

- Dobrze - zgodziła się Joanna, ale potrząsnęła głową. - Nie, nie, ja... - Wycofała się, patrząc na

Charmaine. - Nie, są rzeczy, które i ja powinnam robić. - Odwróciła się i szybko skierowała w stronę

salonu.

- Przykro mi, że zapomniałam do ciebie zadzwonić - powiedziała Charmaine, idąc za nią.

- Nic się nie stało - Joanna odchodząc, zatrzymywała się, odwracała i ścisnęła w rękach raketę tenisową. - Zobaczymy się za kilka dni, dobrze?

- Dobrze - powiedziała Charmaine z uśmiechem. - Zadzwoń do mnie i pozdrów ode mnie Waltera.

Bobbie poszła sama się o wszystkim przekonać i dzieliła się wrażeniami przez telefon:

- Przesuwała meble w sypialni, a wprowadzili się dopiero w lipcu. Jak bardzo mogło się tam nabrudzić?

- To jej przejdzie - powiedziała Joanna. - Musi. Ludzie się aż tak bardzo nie zmieniają.

- Czyżby? - spytała Bobbie. - Tutaj?

- O co ci chodzi?

- Zamknij się, Kenny! Daj mu to! Posłuchaj Joanno, chcę z tobą porozmawiać. Możesz jutro zjeść ze mną lunch?

- Tak

- Przyjadę po ciebie koło południa. Powiedziałam, daj mu to!

Dobrze? W południe - nie będzie nic ciekawego do jedzenia.

- Dobrze. Kim! Rozlewasz wodę po całym... Walter nie był zbyt zaskoczony nagłą przemianą Charmaine.

- Ed musiał jej pokazać, kto tu rządzi - powiedział, zawijając spaghetti na widelec. - Nie sędzę, aby aż tyle zarabiał, by mógł pozwolić sobie na takie luksusy. Służąca musi teraz słono kosztować, co najmniej sto dolarów tygodniowo.

- Ależ jej się zmieniła cała filozofia życiowa, ona wcale nie narzekała na tę nową sytuację.

- Czy wiesz, ile kieszonkowego dostaje Jeremy? - spytał Pere.

- On jest od ciebie o dwa lata starszy - powiedział Walter.

- Może to idiotyczne, ale chcę, żebyś mnie wysłuchała i nie śmiała się ze mnie, bo albo mam rację, albo brak mi piątej klepki i

potrzebuję współczucia. - Bobbie nadgryzła cheeseburgera.

Joanna, patrząc na nią, przełknęła kęs swojego i powiedziała:

- Dobra, mów.

Były przy McDonalddie na Eastbridge Road i siedziały, jedząc w

samochodzie.

Bobbie odgryzła kolejny kęs cheeseburgera, przeżuła i połknęła:

- Przed paroma tygodniami był w *Time* artykuł - zaczęła. -

Szukałam go, ale chyba wyrzuciłam ten numer. - Spojrzała na

Joannę. - W El Paso, w T-xasie mają bardzo niski poziom

przestępczości. Chyba to było w El Paso. W każdym razie, gdzieś

w Teksasie mają bardzo niski poziom przestępczości, niższy niż

gdziekolwiek w tym stanie, a powód jest taki, że pewne związki

chemiczne znajdujące się w ziemi przedostają się do wody, która

uspokajająco wpływa na jej użytkowników, no i zmniejsza u nich

napięcie. Boska prawda.

**- Chyba pamiętam coś takiego - powiedziała Joanna kiwając
głową.**

- Myślisz, Joanno, że coś podobnego jest tu, w Stepford. To

przecież możliwe, prawda? Na Route Ninę stoją te różne

dziwaczne pojemniki -jakaś elektronika, komputery i inne graty,

a tuż obok przepływa potok. Kto wie, jakie świństwa ładują do

środowiska.

- Co masz na myśli? - spytała Joanna.

**- Pomyśl tylko - powiedziała Bobbie. Zacisnęła w pięść wolną rękę i wyprostowała mały palec.-
Charmaine zmieniła się w zwyczajną**

kurę domową. - Wyprostowała palec serdeczny. - Kobieta, z którą

rozmawiałeś, była przewodniczącą Klubu, czyli ona też musiała

się zmienić, prawda?

Joanna przytaknęła.

Bobbie wyprostowała kolejny palec: - Kobieta, z którą Charmaine grywała w tenisa przed tobą, też się zmieniła. Iak przynajmniej mówiła Charmaine.

Joanna zmarszczyła brwi. Wyciągnęła ze stojącej między nimi torebki frytkę.

- Myślisz, że to z powodu chemikaliów? Bobbie kiwnęła głową.

- Albo przeciekają z tych pojemników, albo po prostu są w naszym

otoczeniu tak jak w El Paso, czy gdzie to było. - Wzięła z tacki

kawę. - Musi tak być. To nie może być przypadek, że wszystkie

kobiety w Stepford są takie, jakie są. A niektóre z tych, z którymi rozmawialiśmy, musiały należąć do tego Klubu. Parę lat temu

oklaskiwały Betty Fredman, a teraz, spójrz na nie. Też się

zmieniły.

Joanna zjadła kawałek cheeseburgera i napiła się kawy.

- Jest coś - kontynuowała Bobbie. - W ziemi, wodzie lub

powietrzu, nie wiem. Ale powoduje, że kobiety interesują się tylko domem i niczym innym. Kto wie, jaki wpływ na nasze życie mogą

mieć różne związki chemiczne, Iak naprawdę nie wiedzą tego na

pewno nawet nobliści. Może powodują jakieś zaburzenia

hormonalne? To by tłumaczyło te dziwactwa. Musiałaś przecież

zauważyć.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała Joanna. - Za każdym razem,

gdy wchodzę do sklepu, czuję się jak dziecko.

- Na miłość Boską, ja też - powiedziała Bob-

bie. Postawiła kawę w swojej przegródce i wzięła parę frytek z

torebki.

- No i co? - spytała.

- Zakładam, że to jest możliwe - powiedziała. - Ale brzmi

nieprawdopodobnie.

Wzięła kawę z przegródki; szyba lekko zaparowała od gorącego

napoju.

- Nie bardziej, niż w El Paso - stwierdziła Bobbie.

- Bardziej, bo dotyczy tylko kobiet. Co o tym sądzi Dave?

- Nie wspomniałam mu jeszcze o tym. Pomyślałam, że wypróbuję to najpierw na tobie. Joanna lyknęła kawy.

- W każdym razie leży to w sferze prawdopodobieństwa. Nie

uwagam, że brakuje ci piątej klepki. Co należałoby zrobić? Sądzę, że powinniśmy napisać bardzo wyważony list do Stanowego -

czego? Departamentu Zdrowia? Ochrony Środowiska? Do jakiejś

instytucji, która byłaby kompetentna w tej sprawie. Możemy

poszukać w bibliotece, do kogo napisać.

Bobbie potrząsnęła głową.

- Pracowałam w instytucji państwowej, daj sobie spokój. Ja

uwagam, że należy się stąd wyprowadzić. I wtedy storpedować ich

listami.

Joanna spojrzała na nią.

- Serio - mówiła Bobbie. - Jeśli coś potrafiło odmienić Charmaine, nie będzie miało większych problemów z odmienieniem mnie ani

ciebie.

- Daj spokój.

- Joanno, tu coś jest! Nie żartuję! To jest Miasto Żywych Trupów!

Charmaine wprowadziła się tu w lipcu, ja w sierpniu, a ty we wrzeźniu!

- Dobrze, uspokój się, słyszę, co mówisz. Bobbie ugryzła duży kęs cheeseburgera. Joanna łyknęła kawy i zmarszczyła brwi.

- Nawet jeśli nie mam racji - mówiła Bobbie z pełną buzią - nawet jeśli tu nie ma żadnych wpływów jakichś związków chemicznych -

przełknęła - to czy naprawdę chcesz tu mieszkać? Mamy teraz

obie, ja po trzech miesiącach, ty po dwóch, po jednej przyjaciółce.

Czy tak wyobrażasz sobie idealną społeczność miasteczka?

Pojechałam do Norwood, do fryzjera, żeby się uczesać na twoje

przyjęcie; widziałam wiele kobiet, które pędziły, śpieszyły się,

zwyczajnie ubrane, niecierpliwe i żywe. Miałam ochotę uściskać

każdą z nich!

- Znajdź przyjaciółkę w Norwood - powiedziała Joanna z

uśmiechem. - Masz samochód.

- Ty jesteś tak cholernie niezależna! - Bobbie wzięła swoją kawę z przegródki. - Poproszę Dave'a, żebyśmy się przeprowadzili -

powiedziała. - Sprzedamy ten dom i kupimy nowy w Norwood lub

Eastbride; to trochę kłopotu i zawracania głowy, no i prze-

prowadzka, za którą - jeśli będzie nalegał - ja poniosę koszty.

- Sądzisz, że się zgodzi?

- Lepiej, żeby się zgodził. Bo będzie miał smutne życie. Od

początku chciałam kupić coś w Norwood, ale on twierdził, że tam jest za dużo protestantów. Lepiej mieć towarzystwo protestantów, niż zostać zatrutą jakimś świństwem tutaj. Więc wkrótce zostaniesz tu kompletnie sama, bez przyjaciół; chyba, że

porozmawiasz z Walterem.

- O przewodniczce?

Bobbie skinęła głową. Patrzyła na Joannę, popijając kawę.

Joanna potrząsnęła głową.

- Nie mogłabym go prosić o ponowną przeprowadzkę.

- Czemu nie? Chyba zależy mu na tym, żebyś była szczęśliwa, prawda?

- Nie jestem pewna, czy nie jestem szczęśliwa. Właśnie skończyłam ciemnię.

- Dobra, zostań sobie tutaj. Zamień się w swoją sąsiadkę.

- Bobbie, to nie mogą być związki chemiczne. To znaczy mogłyby być, ale naprawdę w to nie wierzę. Serio!

Rozmawiały o tym podczas jedzenia, a kiedy skończyły, pojechały do Eastbridge Road i skręciły na Route Ninę. Minęły halę handlową, antykwariaty i dojechały do pojemników przemysłowych.

- Rząd Trucicieli - powiedziała Bobbie.

Joanna spojrziała na zadbane, niskie budynki, dość nowoczesne, usytuowane z dala od szosy, każdy oddzielony od drugiego szerokim pasmem trawnika: Ulitz Optics - tam pracował Herb Sundersen, CompuTech - Vic Stavros - a może on był z Instatronu? Stevenson Biochemical, Haig-Darling Computers, Burnham-Massey-Microtech - stąd byli Dale Coba - brrr! - i

Claude Axhelm, Instatron, Reed & Saunders - Bill McCormick -

jak się czuje Marge? - Vesey Electronics i AmeriChem Willis.

- Założę się o pięć dolarów, że produkują tu gazy toksyczne.

- Na terenach zamieszkałych przez ludzi?

- Czemu nie? Z tą bandą u władzy w Waszyngtonie?

- Daj spokój, Bobbie!

Walter zauważył, że coś ją niepokoiło i spytał, czy coś się stało?

- Nie przejmuj się mną - powiedziała. - Musisz przecież

przygotować ten kontrakt do Koblencji.

- Mam na to cały weekend. Powiedz, co cię gnębi?

Wstawiając naczynia do zmywarki opowiedziała mu o tym, że

Bobbie chce się przeprowadzić i o tej historii z El Paso.

- Ależ to przesada! - powiedział.

- Dla mnie też, ale wszystkie kobiety w okolicy zaczynają

przechodzić jakąś ponurą metamorfozę. Jeśli Bobbie się

wyprowadzi, a Charmaine nie wróci do poprzedniego stanu, który

był przynajmniej...

- Czy chcesz się stąd wyprowadzić? - spytał. Spojrzała niepewnie

na niego. Jego niebieskie oczy nie zdradzały żadnych uczuć.

- Nie - powiedziała - jeśli zadomowimy się tu już na stałe. I b dobry dom... Choć, prawdę mówiąc, czułabym się lepiej w Eastbridge

czy Norwood. Szkoda, że nie zajrzeliśmy tam najpierw.

- A więc dostałem wymijającą odpowiedź - powiedział do niej z

uśmiechem. - "tak, tylko że nie".

- Mam tylko jakieś sześćdziesiąt procent pewności - powiedziała.

Wyprostował się przy stole, o który się opierał.

**- Dobrze, jeżeli będziesz miała sto procent pewności,
przeprowadzimy się.**

- Naprawdę?

- Jasne, jeżeli miałabyś tu być nieszczęśliwa. Tylko wolałbym tego nie robić podczas roku szkolnego...

- Oczywiście, że nie.

- Ale moglibyśmy w wakacje. Niczym nie ryzykujemy poza stratą czasu i kosztami związanymi z samą przeprowadzką.

- To samo mówi Bobbie.

- Tak więc jest to tylko kwestia twojej decyzji. - Spojrzał na zegarek i wyszedł z kuchni.

- Walter - zawołała wycierając ręce.

- Tak?

Podeszła tam, skąd mogła go dobrze widzieć stojącego w

korytarzu.

- Dzięki - powiedziała uśmiechając się. - Czuję się już lepiej.

- To przecież ty, a nie ja, całe dni spędzasz w domu - powiedział z uśmiechem i poszedł do gabinetu. Popatrzyła za nim, a potem

odwróciła się i rzuciła okiem na salon. Pete i Kim siedzieli na

podłodze i oglądali telewizję - prezydenci Kennedy i Johnson

razem, dziwne; nie, to były tylko ich kukły. Chwilę pooglądała

program, a potem wróciła do kuchni, żeby włożyć resztę naczyń

do zmywarki.

Również Dave był skłonny do przeprowadzki pod koniec roku

szkolnego.

- Tak łatwo dał się przekonać, że omal nie przewróciłam się ze szczęścia - powiedziała następnego dnia przez telefon Bobbie. -

Mam nadzieję, że jakoś przetrwamy do czerwca.

- Pij wodę z butelek - zasugerowała Joanna.

- A ty myślałeś, że co ja robię? Właśnie wysłałam Dave'a, żeby kupił na zapas. Joanna zaśmiała się.

- Śmieję się, śmieję. Wolę wydać parę centów dziennie więcej, niż żebym później miała żałować. A poza tym piszę do Departamentu Zdrowia. Problem w tym, żeby list nie wyglądał tak, jakby go napisała jakaś dziecięcinia staruszka. Pomożesz mi zredagować i podpiszesz się także?

- Jasne, wpadnij do mnie za jakiś czas. Walter właśnie przygotowuje jakiś kontrakt, więc może udzielić nam kilku wskazówek.

Zrobiła z dziećmi collage z liści jesiennych, pomogła Walterowi przy zakładaniu okien zimowych, a potem spotkali się w mieście na kolacji z pracownikami Waltera z żonami - typowa pseudoprzyjacielska nuda. Z agencji nadszedł czek: dwieście dolarów ze czterokrotne wykorzystanie najlepszego zdjęcia.

W sklepie spotkała Marge McConnick - przyznała, że nie najlepiej się ostatnio czuła, ale teraz już wszystko w porządku, W sklepie z artykułami żelaznymi spotkała Franka Roddenberr/ego.

- Witaj Joanno, jak się m-masz? Natknęła się na Mistrzynię

Ceremonii.

- Na Gwendolyn Lane wprowadziła się murzyńska rodzina. Ale myślę, że to dobrze, prawda?

- Też tak myślę.

- Wszystko gotowe na zimę?

- Tak - powiedziała z uśmiechem Joanna, pokazując paczkę nasion dla ptaszków, którą właśnie kupiła.

- Pięknie tu - powiedziała kobieta. - To pani jest tą fotografką, prawda? Powinna pani robić zdjęcia na imprezach w Dniu

Sportowca.

Zadzwoń do Channaine i zaprosiła ją na lunch. - Nie mogę, tak mi przykro Joanno - powiedziała Charmaine. - Ale mam tyle pracy w domu. Wiesz, jak to jest.

Claude Axhelm przyszedł do nich w sobotę po południu, żeby zobaczyć się z nią, a nie z Walterem. Miał ze sobą walizczkę.

- W wolnym czasie zbieram materiały do pewnej pracy -

powiedział, chodząc po kuchni, podczas gdy ona przygotowywała

mu herbatę. - Może słyszałeś o tym - prosiłem różnych ludzi, żeby nagrywali mi listę pewnych sylab i słów. Mężczyźni robią to w

Klubie, a kobiety w domach.

- Tak, rzeczywiście.

- Nagrywają poza tym, gdzie się urodzili, jak długo i gdzie

mieszkali, zanim się tu sprowadzili. - Chodził wokół, dotykając

galek u szafek. - Potem

wszystko wprowadzę do komputera - przejechał palcem po brzegu

stołu, spoglądając na nią jasnymi oczyma. - Na konkretne hasło

komputer poda wszystkie dane dotyczące określonej osoby, a

więc miejsce urodzenia, wszystkie miejsca zamieszkania, krótko

mówiąc będzie to coś w rodzaju elektronicznego Henry Higginsa.

Ale nie byłoby to tylko dla zabawy - widzę w tym rzecz bardzo

pożyteczną na przykład w pracy policji.

- Moja przyjaciółka, Bobbie Markowe...

- Tak, żona Dave'a.

-... dostała zapalenia krtani od tego nagrywania.

- Bo zrobiła to za szybko - powiedział Claude. - Zrobiła całość w dwa wieczory. Ty nie musisz się tak śpieszyć. Zostawiam ci

magnetofon i nagraj wtedy, gdy będziesz miała czas. Dobrze?

Bardzo byś mi pomogła.

Walter przyszedł z patia. Palił z dziećmi liście na tyłach ogrodu.

Przywitał się z Claude'em.

- Przepraszam cię Joanno, ale zapomniałem ci powiedzieć, że

Claude chce z tobą porozmawiać. Myślisz, że możesz mu pomóc?

- Mam tak mało wolnego czasu... - zaczęła.

- Rób to w wolnych chwilach - powiedział Claude. - Możesz to

robić przez parę tygodni.

- Jeśli na tyle czasu zostawisz mi magnetofon...

- W zamian za to dostaniesz prezent - powiedział Claude,

otwierając aktówkę. - Zostawiam ci dodatkową kasetę na różne

kołysanki i pioseneczki, które śpiewasz dzieciom. Nagram je na

plytę i jeśli wieczorem wyjdiesz z domu, opiekunka może ją

dzieciom nastawić.

- Jakie to miłe - powiedziała, a Walter zaproponował:

- Mogłabyś nagrać "The Goodnight Song" i "Good Morning

Starshine".

- Może to być cokolwiek - powiedział Claude.

- Im więcej, tym lepiej.

- Muszę wracać do ogrodu - powiedział Walter

- dopilnować ogniska. Do zobaczenia.

- Cześć - odpowiedział Claude.

Joanna przyniosła Claude'owi herbatę, a on nauczył ją obsługiwać

magnetofon - bardzo ładny, w czarnym, skórzanym futerale. Dał

jej osiem kaset w żółtych pudełkach i czarny segregator z

kartkami.

- Dużo tego - powiedziała, przeglądając po-zaginane strony ze słowami napisanymi w trzech kolumnach.

- To szybko idzie - powiedział. - Tylko każde słowo mów wyraźnie, normalnym głosem i zatrzymuj się przed następnym. I uważaj,

żeby wskazówka była na czerwonym kolorze. Chcesz spróbować?

Z bratem Waltera, Danem i jego rodziną zjedli obiad z okazji

Święta Dziękczynienia. Zorganizował go Walter z matką i miał to

być obiad pojednawczy, ponieważ bracia byli od ponad roku

skłóceni z powodu posiadłości ojca, ale kłótnia zaczęła się na

nowo. Walter i Dań krzyczeli, ich matka także, a Joanna w drodze

do domu nie umiała tego zajścia wytłumaczyć dzieciom.

Zrobiła zdjęcia najstarszemu synowi Bobbie, Jonathanowi, jak

pracował z mikroskopem, oraz mężczyznom, jak siedzieli na

dźwigu i przycinali gałęzie drzew przy Norwood Road. Próbowała

skompletować teczkę z tuzina przynajmniej najlepszych zdjęć,

aby naciągnąć agencję na kontrakt.

Pierwszy śnieg spadł, gdy Walter był w klubie. Obserwowała z

okna gabinetu, jak w świetle latarni wirowały drobne białe pyłki.

Jednak po zetknięciu z ziemią nie pozostawiały żadnego śladu.

Gdy spadnie go jeszcze więcej, zaczniesz się prawdziwą zabawą;

będzie robić dobre zdjęcia i będzie musiała rozejrzeć się za

butami i zimowymi skafandrami dla rodziny.

Po drugiej stronie ulicy, w salonie Claybrooków, siedziała Donna i polerowała coś, co

przypominało puchar sportowy. Czyściła go zdecydowanymi, rytmicznymi ruchami. Joanna patrzyła i potrząsnęła głową. One pracują jak roboty od poniedziałku do soboty. To brzmi jak początek wiersza.

Uśmiechnęła się. Może by to przesłać do *“Kroniki”*.

Podeszła do biurka, usiadła i przesunęła pióro, które wcześniej położyła w miejscu, gdzie skończyła czytać.

Przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę, panującą na piętrze, a potem włączyła magnetofon. Z palcem na stronie, pochyliła się do mikrofonu naprzeciwko rysunku Ike'a Mazzarda i czytała: *“Talk. Talent. Talenty. Talon. Talony. Talonowy.”*

ROZDZIAŁ D

Zdecydowała, że przeprowadzi się dopiero wówczas, gdy znajdzie idealny dom. Taki, który nie wymagałby remontu, miał odpowiednią liczbę przestronnych pokoi i ciemnię lub przynajmniej coś w tym rodzaju, a cena nie przekraczałaby sumy, jaką zapłacili za dom w Stepford (*“Walter nawet twierdził, że mogło im się jeszcze wszystko zwrócić”*).

Wymagania duże, ale nie zamierzała tracić zbyt wiele czasu.

Jednak pewnego zimnego grudniowego dnia udała się wraz z

Bobbie na poszukiwania.

Bobbie szukała codziennie: w Norwood, East-bridge i New

Sharon. Jak tylko znajdzie coś odpowiedniego, a była znacznie

mniej wymagająca od Joanny, będzie naciskać na Dave'a, żeby

natychmiast się przeprowadzili, mimo iż chłopcy będą musieli w

połowie roku zmienić szkoły.

- Lepiej, żeby mieli małe perturbacje w życiu niż nienormalną

matkę - powiedziała Bobbie. Piła ciągle wodę tylko z butelek i nie jadła żadnych tutejszych produktów.

- Wiesz, możesz sobie też kupić tlen w butlach - powiedziała

Joanna.

- Wypchaj się. A ja już widzę, jak porównujesz Ajax z proszkiem do zmywania, którego używałaś wcześniej.

Szukanie domu skłoniło ją do dalszych obserwacji. Kobiety, które spotkały z Bobbie w Eastbridge - czy to właścicielki domów, czy pośredniczki w handlu nieruchomościami, jak na przykład pani Kirgassa - były żywe, energiczne, pogłębiając tym samym kontrast pomiędzy sobą a otępiałymi kobietami w Stepford. Poza tym w Eastbridge istniały duże możliwości działalności społecznej dla kobiet i mężczyzn. Zarówno dla każdej z płci oddzielnie jak i wspólnie. Powstawała tam nawet filia NOK-u.

- Czemu pani tu wcześniej nie zajrzały? - spytała pani Kirgassa, pędząc z zabójczą prędkością zygzakiem po szosie.

- Mój mąż słyszał, że... - zaczęła Joanna, kurczowo trzymając się podpórki pod łokieć i z przyzwyczajenia naciskając nogą nieistniejący pedał hamulca.

- Tam nie ma życia, nie tak jak tu.

- Woląbyśmy jednak wrócić całe, żeby spakować rzeczy - powiedziała z tylnego siedzenia Bobby. _ Pani Kirgassa ryknęła śmiechem.

- Po tych drogach mogę jeździć z zawiązanymi oczyma. Chcę paniom pokazać jeszcze dwa miejsca.

W drodze powrotnej do Stepford Bobbie powiedziała:

- To coś dla mnie. Zostanę pośrednikiem w handlu

nieruchomościami. Już zdecydowałam. Wychodzisz z domu, poznajesz nowych ludzi, zaglądasz ludziom do szafek. I możesz sama wyznaczać sobie godziny pracy. Serio, dowiem się, jakie stawiają tam wymagania.

Otrzymały list z Departamentu Zdrowia. Długi na dwie strony, w którym zapewniano je, że ich zainteresowanie ochroną

środowiska dzielają zarówno władze stanu, jak i władze

lokalne. Instalacje przemysłowe na terenie całego stanu podlegają ścisłym przepisom dotyczącym ochrony środowiska. Ich

stosowanie jest egzekwowane poprzez częste kontrole samych instalacji oraz regularne badanie próbek ziemi, wody i powietrza.

Jak do tej pory nie zrodziły one żadnych podejrzeń na temat zanieczyszczenia naturalnego środowiska w okolicy Stepford. Nie

stwierdzono też obecności żadnych organicznych związków chemicznych, które mogłyby odurzać lub wywoływać depresje u mieszkańców miasta. Autorki listu mogły być zatem spokojne, gdyż ich obawy okazały się bezpodstawne, a ich troska została

doceniona.

- Bzdury - powiedziała Bobbie, pozostając przy wodzie z butelek.

Za każdym razem, gdy przychodziła do Joanny, przynosiła termos z kawą.

Walter leżał na boku, odwrócony do ściany, gdy przyszła z łazienki. Usiadła na łóżku, zgasila lampkę i weszła pod kołdrę.

Leżała na plecach i patrzyła, jak na suficie wylaniają się różne kształty.

- Walter?

- Mhm?

- Czy było ci dobrze? - spytała.

- Jasne - powiedział. - A tobie - nie?

- Mnie - tak. Nic nie powiedział.

- Miałam wrażenie, że nie było to dla ciebie przyjemne przez

ostatnich kilka razy.

- Nie, było dobrze. Tak jak zawsze.

Leżała, patrząc w sufit. Pomyślała o Charmaine, która nie

pozwalala Edowi się złapać (a może i to się zmieniło?) i o tym, co Bobbie napomknęła swego czasu o dziwnych pomysłach Dave'a.

- Dobranoc - powiedział Walter.

- Czy jest coś - spytała - co byś chciał, żebym robiła, a czego nie robię? Albo czego byś nie chciał, a co robię?

Nie odezwał się, dopiero po chwili powiedział.

- Najważniejsze jest to, co ty chcesz robić. Odwrócił się i spojrzal

na nią, oparty na łokciu. - Naprawdę - powiedział z uśmiechem. -

Jest dobrze. Może ostatnio jestem trochę wykończony dojazdami

do pracy.

Pocałował ją w policzek.

- Idź spać - powiedział.

- Czy masz romans z Esther?

- Na miłość Boską, przecież ona chodzi z facetem z Czarnych

Panter. A ja z nikim nie romansuję.

- Z Czarnych Panter?

- Tak powiedziała Donowi jego sekretarka. Nawet nie

rozmawiamy o seksie. Ja poprawiam jedynie jej błędy

ortograficzne. Idźmy już spać. - Pocałował ją w policzek i odwrócił

się.

Przewróciła się na brzuch i zamknęła oczy. Trochę się wierciła,

starając się znaleźć dogodną pozycję.

Pojechali z Dave*em i Bobbie do Norwood na film i spędzili razem

z nimi wieczór, bawiąc się przy kominku w Monopol.

W sobotę wieczorem spadł duży śnieg, a w niedzielę Walter

zrezygnował z oglądania meczu piłki nożnej i niezbyt szczęśliwy

poszedł z dziećmi na sanki, na Winter Hill, Joanna zaś pojechała

do New Sharon i wypstrykała półtora kolorowego filmu w

rezerwacie ptaków.

Pete dostał główną rolę w sztuce bożonarodzeniowej, a Walter w

drodze do domu zgubił portfel albo ktoś mu go ukradł.

Zaniosła szesnaście zdjęć do agencji. Bob Silver-berg, z którym

tam podpisywała kontrakt, powiedział, że obecnie agencja z nikim nie chce współpracować. Zatrzymał jednak zdjęcia, mówiąc, że za dzień lub dwa da jej znać, czy są nimi zainteresowani. Lunch zjadła ze starą przyjaciółką, Doris Lombardo. Potem zrobiła gwiazdkowe zakupy dla rodziców i Waltera.

Otrzymała z powrotem dziesięć ze złożonych w agencji zdjęć, łącznie z "Po służbie", które postanowiła posłać na konkurs do

Przeglądu Sobotniego. Wśród sześciu, które agencja trzymała, był "Uczeń" - zdjęcie Jonny'ego Markowe z mikroskopem. Zadzwoiła do Bobbie i powiedziała jej:

- Dam mu dziesięć procent od tego, co za nie dostanę.

- Czy to znaczy, że mogę przestać mu dawać kieszonkowe?

- Nie radzę. Moje najlepsze zdjęcie, jakie do tej

pory, ocenili na trochę powyżej tysiąca, a dwa pozostałe na dwieście dolarów za sztukę.

- I nieźle jak na dzieciaka, który wygląda jak Peter Lorre - powiedziała Bobbie. - Mam na myśli jego, nie ciebie. Słuchaj, miałam i tak do ciebie zadzwonić. Mogłabyś wziąć Adama do siebie na weekend? Byłabyś taka dobra?

- Jasne, Pete i Kim będą szczęśliwi. A dlaczego mam wziąć?

- Dave miał wspaniały pomysł. Spędzimy sobie ten weekend całkiem sami. Drugi miesiąc miodowy.

Jakby to już gdzieś słyszała: *deja vu*. Ale odsunęła tę myśl. - To świetnie - powiedziała.

- Jonny'ego i Kenn'ego już mamy gdzie ulokować, ale pomyślałam, że Adam lepiej się będzie czuł u was.

- Dobrze. Dzięki temu Pete i Kim przestaną się na jakiś czas

kłócić. A co robicie? Wyjeżdżacie gdzieś?

- Nie, zostajemy tu i pozwolimy się całkowicie zasypać śniegiem.

Przywiozę go do was jutro po szkole, dobrze? A zabierzemy w niedzielę po południu.

- Dobra. A jak tam poszukiwania domu?

- Nie najlepiej. Dziś rano widziałam w Norwood prawdziwe cacko, ale właściciele wyprowadzają się dopiero pierwszego kwietnia.

- Pilnuj więc tego.

- Nie, dzięki. Spotkamy się?

- Nie mogę. Naprawdę muszę posprzątać.

- Widzisz? Zmieniasz się. Te czary w Stepford zaczynają działać.

Murzynka w pomarańczowym szaliku i sztucznym, pasiastym

futrze stała w bibliotece przy stoliku z palcem na książkach.

Spojrzała na Joannę i kiwnęła głową niemalże z uśmiechem.

Joanna zrewanżowała się kiwnięciem i również niemalże się

uśmiechnęła. Murzynka odwróciła wzrok w kierunku pustego

krzesła za biurkiem bibliotekarki i półek z książkami za nim. Była wysoka, o czekoladowej cerze, krótko ostrzyżonych,

kruczoczarnych włosach i wielkich, ciemnych oczach, trochę

egzotycznych. Miała około trzydziestki.

Joanna w drodze do biurka zdjęła rękawiczki i wyciągnęła z

kieszeni kartę biblioteczną. Spojrzała na nazwisko pani Austrian, stojące na biurku, a następnie na długie, szczupłe palce Murzynki, stojącej parę metrów dalej. Pod palcami leżały książki:

Ścięta

głowa Iris Murdoch, a pod spodem jeszcze dwie, łącznie z

Magiem, Joanna spojrzała na kartę. Mają odłożyć dla niej *Poza*

***wolnością i dumą* aż do 11 grudnia. Chciała powiedzieć coś miłego i przyjaznego. Ta kobieta jest zapewne żoną albo córką w tej**

murzyńskiej rodzinie, w której wspomniała Mistrzyni Ceremonii

Powitalnej. Joanna nie chciała uchodzić za zbyt liberalną. Czy

powiedziałyby coś, gdyby to nie była Murzynka? Zapewne tak, w

takiej sytuacji jak ta.

- Mogłybyśmy stąd wynieść wszystkie książki, gdybyśmy tylko chciały - powiedziała Murzynka. Joanna uśmiechnęła się.

- Chyba tak powinnyśmy zrobić, żeby nauczyć ją pilnowania miejsca - powiedziała, kiwając głową w stronę biurka.

- Czy zawsze tu tak pusto?

- Jeszcze w takim stanie tego miejsca nie widziałam - odpowiedziała Joanna. - Tyle, że przychodzę tu zwykle w soboty i popołudniami.

- Jest pani w Stepford nowa?

- Mieszkam tu od trzech miesięcy.

- A ja od trzech dni - powiedziała Murzynka.

- Mam nadzieję, że spodoba się tu pani.

- Z pewnością. Joanna wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Joanna Eberhart - powiedziała z uśmiechem.

- Ruthanne Hendry.

Joanna przechyliła głowę, mrużąc oczy.

- Znam skądś to nazwisko, gdzieś je widziałam. Kobieta uśmiechnęła się. - Ma pani jakieś małe dzieci? - spytała.

Joanna skinęła zmieszana.

- Napisałam książeczkę dla dzieci, *Penny na plan* - powiedziała. -

Mają ją tu, sprawdziłam w katalogu.

- Oczywiście, wypożyczyłam ją dla Kim dwa tygodnie temu!

Bardzo jej się podobała! Mnie też. Dobrze znaleźć książkę, w której dziewczynka oprócz herbatki dla lalek rzeczywiście coś

robi.

- Dyskretna propaganda - powiedziała z uśmiechem Ruthanne

Handry.

- **I sama pani robiła do niej ilustracje. Są świetne!**
- **Dziękuję.**
- **Pisze pani następną? Ruthanne Hendry kiwnęła głową.**
- **Mam już pomysł, ale zacznę nad nią pracować, jak się tu**

zadomowimy.

- Przepraszam bardzo - powiedziała pani Austrian, która właśnie wyszła kulejąc z małego pokoiku.

- Jest tu tak cicho z rana, że... - zatrzymała się, zamrugła oczami i dalej szła utykając - ..
pracuję w biurze. Będę musiała

zainstalować tu wreszcie jeden z dzwonków, które klient może przycisnąć, by mnie wezwać. Witam, pani Eberhart.-

Uśmiechnęła się do Joanny i do Ruthanne Handry.

- Dzień dobry - odpowiedziała Joanna. - A tu ma pani jedną ze swoich autorek książek dla dzieci. Jest autorką książeczki *Penny ma plan*. To Ruthanne Hendry.

- Ach tak? - pani Austrian ciężko usiadła na krześle, przytrzymując je tłustymi, różowymi rękami.

- To bardzo popularna książeczka - powiedziała. - Mamy dwa egzemplarze i oba są ciągle w czytaniu.

- Podoba mi się ta biblioteka - powiedziała Ruthanne Hendry. -
Mogę się do niej zapisać?

- A mieszka pani w Stepford?

- Tak, właśnie się tu przeprowadziłam.

- A więc witamy - powiedziała pani Austrian. Otworzyła szufladę, wyciągnęła białą kartę i położyła obok sterty książek.

W Centrum Handlowym, przy prawie pustym barku, Ruthanne mieszała kawę i patrząc na Joannę powiedziała:

- Powiedz mi coś, ale szczerze: czy był duży sprzeciw, gdy

kupowaliśmy tu dom?

- Nic o tym nie słyszałam - odparła Joanna.

- To nie jest miasto, w którym ludzie się buntują czy sprzeciwiają.

Nie ma tu nawet miejsca, w którym można by się spotkać, poza

Stowarzyszeniem Mężczyzn.

- Oni są w porządku. - powiedziała Ruthanne.

- Royal tam jutro wstępuje. Ale chodzi mi o tutejsze kobiety.

- To nie ma nic wspólnego z kolorem skóry, uwierz mi. One są

takie dla każdego. Nie mają czasu nawet na kawę, zgadza się?

Przykute do pracy domowej.

Ruthanne kiwnęła głową.

- Jeśli chodzi o mnie, to mi nie przeszkadza, jestem samowystarczalna, inaczej w ogóle bym się nie przeprowadzała,

ale...

Joanna opowiedziała jej o kobietach, żyjących w Stepford i o tym, jak Bobbie zamierzała wyprowadzić się stąd, by nie upodobnić się

do nich.

Ruthanne uśmiechnęła się.

- Nic nie jest w stanie uczynić ze mnie kury domowej -

powiedziała. - A jeśli one takie są, to dobrze, martwiłam się tylko o te dziewczynki.

Miała dwie córeczki w wieku czterech i sześciu lat. Jej mąż, Royal, był kierownikiem Wydziału Socjologii w jednym z uniwersytetów

w mieście. Joanna opowiedziała jej o Walterze, Pete i Kim oraz o

fotografowaniu. Wymieniły numery telefonów.

- Odkąd pracuję nad nową książeczką, prowadzę pustelniczy tryb

życia, ale zadzwonię do ciebie za jakiś czas.

- Ja zadzwonię do ciebie - powiedziała Joanna. - Jeśli będziesz

zajęta, to mi po prostu powiesz. Chcę, żebyś poznała Bobbie.

Jestem pewna, że się polubicie.

Kiedy szły do swoich samochodów, a zostawiły je przed

biblioteką, Joanna zauważyła Dale'a Cobę, który patrzył na nią z

daleka. Stał, trzymając na rękach baranka, obok mężczyzn

ustawiających szopkę wigilijną w pobliżu willi Towarzystwa

Historycznego. Kiwnęła mu głową, a on trzymając baranka, który

wyglądał całkiem naturalnie, odklonił się z uśmiechem.

Powiedziała Ruthanne, kim był i zapytała, czy wiedziała, że Ike

Mazzard mieszka w Stepford.

- Kto?

- Ike Mazzard. Ilustrator czasopism.

Ruthanne nigdy o nim nie słyszała, a Joanna poczuła się już stara albo za bardzo biała.

Ib, że Adam spędzał u nich weekend, miało swoje dobre i złe

strony. W sobotę trójka dzieci grzecznie się bawiła w domu i na

dworze. W niedzielę, kiedy Walter zarezerwował sobie cały salon

na oglądanie meczu (po tym jak tydzień wcześniej poszedł z

dziećmi na sanki), a na dworze był duży mróz, chłopcy bawili się

w żołnierzy w fortecy zrobionej z przykrytego kocem stołu, potem

byli odkrywcami w piwnicy (Joanna przeganiała ich z ciemni), w

końcu - załogą ze "Star Treku" w pokoju Pete'a. I tak się dziwnie składało, że za każdym razem mieli wspólnego wroga, którego

nazwali Kim-Jest-Głupia.

Wspólnie naradzali się, obserwowali ją i budowali barykady, żeby

jej nie wpuścić. A biedna Kim

naprawdę była ogłupiała, bo chciała się z nimi bawić, a nie

rysować ani pomagać Joannie w sortowaniu negatywów. Nie

chciała nawet robić ciasteczek. Joanna nie wiedziała już, co

począć, Adam i Pete ignorowali groźby, Kim nie wystarczyły

pocieszenia, a Walter miał w nosie wszystko.

Joanna ucieszyła się, gdy Bobbie i Dave przyjechali po Adama.

Ale kiedy zobaczyła, jak wspaniale oboje wyglądali, miło jej było, że go wzięła. Bobbie była u fryzjera i wyglądała przepięknie, czy to dzięki makijażowi, czy dzięki miłości. Prawdopodobnie z obu

powodów. Dave był ożywiony, w lepszym nastroju - szczęśliwy.

Wnieśli ze sobą do domu rzeźkość.

- Cześć, Joanno, jak było? - spytał Dave, rozcierając dłonie, a

Bobbie owinięta w futro z szopa powiedziała:

- Mam nadzieję, że Adam nie rozrabiał zbytnio.

- Ani trochę - uspokoiła ją Joanna. - Wyglądacie oboje cudownie!

- Bo się tak czujemy - powiedział Dave, a Bobbie uśmiechnęła się i dodała: - To był piękny weekend. Dzięki wam, że nam

pomogliście.

- Nie ma o czym mówić. Podrzucę wam Pete'a w któryś z

najbliższych weekendów.

- Chętnie go weźmiemy - powiedziała Bobbie, a Dave dodał: -

Kiedy tylko zechcesz, powiedz nam. Adam! Czas do domu!

- Jest w pokoju Pete'a.

Dave złożył ręce w trąbkę i krzyknął:

- Adam! Już jesteśmy! Bierz swoje rzeczy!

- Rozbierzcie się - powiedziała Joanna.

- Musimy jeszcze pojechać po Jonny'ego i Ken-ny'ego - wyjaśnił

Dave.

- Jestem pewna, że chcecie teraz trochę ciszy i spokoju.

Musielście tu mieć niezłe piekło - domyśliła się Bobbie.

- Nie była to może moja najspokojniejsza niedziela - powiedziała

Joanna. - Ale wczoraj było świetnie.

- Cześć wam! - zawołał Walter, idąc z kuchni ze szklanką wody w rękę.

Bobbie odpowiedziała: - Cześć Walterze, a Dave: - Cześć, stary.

- Jak się udał drugi miesiąc miodowy? - spytał Walter.

- Lepiej niż pierwszy, tyle że był krótszy - powiedział Dave, uśmiechając się do niego.

Joanna spojrzała na Bobbie oczekując, że ta powie coś śmiesznego. Bobbie uśmiechnęła się do niej i spojrzała na schody.

- Cześć, cukiereczku - powiedziała. - Miło spędziłeś weekend?

- Nie chcę iść - powiedział Adam, stojąc na schodach przechylony, aby duża torba nie spadła. Pete i Kim stali za nim, a Kim zapytała:

- Czy nie możesz tu zostać jeszcze jeden dzień?

- Nie, kochanie, jutro masz szkołę - powiedziała Bobbie, a Dave

dodał: - Chodź kolego, musimy jechać po resztę mafii.

Adam zszedł na dół z ponurą miną, a Joanna wyjęła z szafki jego płaszcz i buty.

- Hej - powiedział Dave - zdobyłem dla ciebie informacje o tych akcjach, o które prosileś.

- To świetnie - powiedział Walter i poszli obaj do salonu.

Joanna podała Bobbie płaszczyk Adama, a matka pomogła mu się ubrać. Postawił na ziemi torbę z rzeczami i włożył ręce do rękawów.

Joanna, trzymając buty Adama, spytała:

- Dać ci do nich torbę?

- Nie zwracaj sobie głowy - powiedziała Bobbie. Odwróciła

Adama i pomogła mu się pozapinać.

- Ładnie pachniesz - powiedział.

- Dzięki, cukierczku.

Spojrzał w górę, a potem na matkę: - Nie chcę, żebyś tak mnie nazywała. Już nie jestem cukierczkiem - powiedział.

- Przepraszam, już cię tak nie nazwę - uśmiechnęła się i pocałowała go w czoło.

Walter i Dave wrócili z salonu, a Adam podniósł swoją torbę i pożegnał się z Pete'em i Kim. Joanna podała Bobbie buty Adama i lekko pocałowała ją w policzek. Bobbie była jeszcze zimna i rzeczywiście ładnie pachniała.

- Pogadamy jutro - powiedziała Joanna.

- Jasne - zgodziła się Bobbie i uśmiechnęła się do siebie. Bobbie podeszła do Waltera i nadstawiła policzek. Ku lekkiemu

zdziwieniu Joanny Walter się zawahał i dopiero po chwili

cmoknął ją lekko. Dave pocałował Joannę i poklepał Waltera po

ramieniu.

- Trzymaj się, stary - powiedział i wyprowadził Adama.

- Możemy teraz wejść do salonu? - spytał Pete.

- Jest teraz wasz - powiedział Walter.

Pete uciekał, a Kim biegła za nim.

Joanna stała z Walterem przy zimnej szybie, patrząc, jak Bobbie,

Dave i Adam wsiadali do samochodu.

- Fantastycznie - powiedział Walter.

- Czyż nie wyglądają świetnie? - powiedziała. - Bobbie nie

wyglądała tak znakomicie nawet na naszym przyjęciu. Dlaczego

nie chciałeś jej pocałować?

Walter nic nie powiedział, a po chwili stwierdził:

- Nie wiem, ale uważam, że całowanie w policzek to taki gest na

pokaz.

- Nie zauważyłam wcześniej, żebyś miał coś przeciwko temu -
powiedziała.

- Pewnie się zmieniłem. Patrzyła, jak zamknęły się drzwi
samochodu i włączyły światła.

- Co byś powiedział na weekend tylko my, we dwoje? - zapytała. -

Oni wezmą Pete'a do siebie, a Kim może by dać do van Santów.

Jestem pewna, że zgodziliby się.

- Byłoby świetnie - powiedział. - Zaraz po świętach.

- Można by ją dać do Hendry'ów, oni mają sześciolletnią córeczkę,
a chciałabym, żeby Kim poznała murzyńską rodzinę.

Samochód odjechał, widać było jeszcze czerwone

ślady światełek. Walter zamknął drzwi na klucz i zgasił

zewewnętrzne światło.

- Chcesz drinka? - spytał.

- I to jeszcze jak - powiedziała Joanna. - Należy mi się po takim dniu jak dzisiejszy.

Co za poniedziałek: pokój Pete'a musi być generalnie

posprzątany, a pozostałe przynajmniej odkurzone. Trzeba

pozmieniać bieliznę pościelową, wynieść brudną, której się dużo

nagromadziło, zrobić listę zakupów na jutro i przedłużyć Pete'owi spodnie. Tb wszystko
musiała zrobić natychmiast, a czekały na

nią inne rzeczy - zakupy świąteczne, adresowanie kart z życze-

niami, szycie kostiumu dla Pete'a do sztuki *Dziękuję za to, panno*

Tbmer. Bogu dzięki, Bobbie nie zadzwoniła, nie miała czasu na plotki przy kawie. Joanna

zastanawiała się. Czy ona ma rację?

Czyżbym się zmieniała? Wcale nie, kiedyś trzeba nadgonić obowiązki domowe, inaczej ten dom zamieni się w dom Bobbie.

Poza tym prawdziwa żona ze Stepford robiłaby to spokojnie, bez pośpiechu i nie jeździłaby odkurzaczem po kablu, a następnie, kalecząc sobie palce, wyciągała go ze środka.

Zrobiła Pete'owi piekło, że nie odkłada zabawek na miejsce, skoro przestał się nimi bawić. On się obraził i przez godzinę nie odzywał się do niej. A Kim zaczęła kaszleć.

Walter wyblagał, aby tym razem wyręczyła go w zmywaniu i pobiegł do pełnego już samochodu Herba Sundersena. Nastąpił pracowity okres dla Stowarzyszenia. Realizują plan Zabawek Gwiazdkowych dla Ubogich Dzieci (Dla kogo? Czy były w Stepford jakieś ubogie dzieci? Nie znała żadnych).

Pocięła prześcieradło, by wreszcie zacząć kostium bałwana dla Pete'a. Następnie zagrała z dziećmi w koncentrację (Kim kaszlnęła tylko raz, odpukać). Potem zaadresowały karty świąteczne na literę "L". O dziesiątej poszła do łóżka i zasnęła przy książce Skinnera.

We wtorek było lepiej. Kiedy posprzątała po śniadaniu i pościeliła łóżka, zadzwoniła do Bobbie. Nikt się jednak nie zgłaszał, pewnie Bobbie znów pojechała szukać domu. Udała się więc do Centrum i

zrobiła zakupy na cały tydzień. Potem poszła na lunch. Po lunchu wróciła do Centrum i zrobiła zdjęcia szopki. Wróciła do domu tuż

przed przyjazdem autobusu szkolnego.

Walter pozmywał naczynia i dopiero potem pojechał do klubu.

Zabawki miały być dla dzieci z miasta, mieszkających w ghektach i szpitalach.

I spróbuj tu narzekać, pani Eberhart. A może jeszcze pani Ingalls?

Pani Ingalls-Eberhart?

Kiedy wykapała się i wysłała do łózek Pete'a i Kim, zadzwoniła do Bobbie. To dziwne, że nie odezwała się do niej w ciągu dwóch dni.

- Halo? - powiedziała Bobbie.

- Dawno nie rozmawialiśmy.

- Kto mówi?

- Joanna.

- Witaj - powiedziała Bobbie. - Jak się masz?

- Dobrze, a ty? Czy może źle się czujesz?

- Nie, czuję się świetnie.

- Trafiałaś dziś na coś ciekawego?

- Tb znaczy?

- W poszukiwaniach domu.

- Rano bylam na zakupach - powiedziała Bobbie.

- Czemu nie zadzwoniłaś do mnie?

- Wcześniej wyszłam.

- Ja wyszłam około dziesiątej, musiałyśmy się minąć.

Bobbie milczała.

- Bobbie?

- Tak?

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Najzupełniej. Jestem właśnie w trakcie prasowania.

- O tej porze?

- Dave potrzebuje na jutro czystej koszuli.

- To zadzwoń do mnie około dziesiątej, może zjemy razem lunch.

Chyba, że znowu będziesz szukać domu.

- Nie będę - odpowiedziała Bobbie.

- To zadzwoń do mnie, dobra?

- Dobra. Cześć, Joanno.

^~PBP |^f£&3|f*

Odłożyła słuchawkę i siedziała z ręką na telefonie, patrząc przed siebie. Uderzyła ją nagle głupia myśl, że Bobbie zmieniła się tak jak Charmaine. Nie, na pewno nie Bobbie. Musiała pokłócić się z

Daviem i to poważnie i nie była jeszcze gotowa opowiedzieć jej o wszystkim. A może to ona - Joanna - jakoś nieświadomie obrazila

Bobbie? A może w niedzielę powiedziała coś na temat pobytu

Adama, co Bobbie mogja opacznie

zrozumieć? Ale nie, przecież rozstały się przyjaźnie, jak zawsze z pocałunkiem na pożegnanie mówiąc, że zadzwonią do siebie. Ale

teraz, kiedy Joanna myśli o tym, wydaje się jej, że już wtedy

Bobbie była jakaś inna. Mówiła inaczej niż zawsze i ruszała się

jakby wolniej. Może razem z Davem palili coś podczas weekendu?

Bobbie mówiła, że kilka razy próbowali, bez skutku, może teraz podziałało...

Zaadresowała kolejne kartki.

Zadzwoiła do Ruthanne Hendry, która była bardzo miła i

ucieszyła się z telefonu. Rozmawiały o *Magu*, który podobał się Ruthanne tak bardzo jak Joannie. Ruthanne opowiedziała jej o

nowej książeczce o Penny. Postanowiły w następnym tygodniu

zjeść razem lunch. Joanna porozmawia z Bobbie i we trzy pójdą

do restauracji francuskiej w Eastbridge. Ruthanne zadzwoni do

niej w poniedziałek z rana.

Dalej adresowała karty świąteczne i czytała w łóżku książkę

Skinnera dopóty, dopóki nie wrócił Walter.

- Rozmawiałam dziś z Bobbie - powiedziała. - Była jakaś inna, wykończona.

- Ma pewnie już dość tej bieganiny po domach - powiedział, opróżniając kieszenie marynarki.

- W niedzielę też była jakaś inna, nic nie powiedziała. ..

- Miała po prostu makijaż i staranną fryzurę, to wszystko -

powiedział Walter. - Nie zaczniesz chyba znowu opowiadać o tych związkach chemicznych?

Ściągnęła w zamyśleniu brwi, przytulając zamkniętą książkę do owiniętych kołdrą kolan.

- Czy Dave nie wspominał ci, że może coś palili? - spytała.

- Nie, ale to mogłoby wszystko tłumaczyć - powiedział.

Kochali się, ale Joanna była zbyt spięta i nie potrafiła dać z siebie wszystkiego, po prostu nic z tego nie miała.

Bobbie nie zadzwoniła, więc Joanna około pierwszej pojechała do

niej. Psy zaczęły ujadać na jej widok. Były uwiązane na lince, na tyłach domu. Korgi, stojąc na

tylnych łapach, przednimi prul

powietrze i ujadął, a włochaty Bobtail stał w miejscu i czekał.

Niebieski chevrolet Bobbie stał na podjeździe.

Bobbie, w nieskazitelnie czystym salonie z puszystymi

poduszkami, błyszczącymi meblami i czasopismami pięknie

rozłożonymi na stole, uśmiechnęła się do Joanny i powiedziała:

- Przykro mi, ale byłam tak zajęta, że zupełnie zapomniałam.

Jadłaś już lunch? Wejdz do kuchni, zrobię ci kanapkę. Z czym

chcesz?

Wyglądała tak jak w niedzielę - piękna, z ładną fryzurą i

makijażem. Miała pod swetrem jakiś wypchany biustonosz i jakiś

elastyczny pas pod fałdowaną spódnicę.

W nieskazitelnie czystej kuchni powiedziała:

- Tak, zmieniłam się, Zdałam sobie sprawę, jaka byłam

nieporządna i pozwalałam sobie na zbyt wiele. To żadna hańba

być dobrą gospodynią. Postanowiłam sumiennie wykonywać

swoją pracę; tak jak Dave wyko-

nuje swoją. I chcę bardziej dbać o swój wygląd. Jesteś pewna, że

nie chcesz kanapki? Joanna potrząsnęła głową:

- Bobbie, czy nie widzisz, co się stało? Cokolwiek to jest, dopadło cię! Tak jak Charmaine!

Bobbie uśmiechnęła się do niej.

- Nic mnie nie dopadło - powiedziała. - I nic tu nie ma w okolicy.

Tb był stek bzdur, Stepford jest dobrym i zdrowym miejscem.

- Nie chcesz się już wyprowadzać?

- Nie, skądże - powiedziała. - To też był nonsensowny pomysł.

Jestem tu zupełnie szczęśliwa. Może zrobię ci chociaż kawy?

Zadzwoiła do Waltera do pracy.

- O! Dzień dobry! - powiedziała Esther. - Jak miło znów panią

słyszeć. Musi być u państwa piękna pogoda, a może dzwoni pani z miasta?

- Nie, jestem w domu. Czy mogę prosić Waltera?

- Przykro mi, jest na konferencji.

- Tb bardzo ważne, muszę z nim rozmawiać.

- Proszę zaczekać sekundkę.

Czekała, siedząc w gabinecie na biurku, przeglądając papiery i

koperty, które wyciągnęła ze środkowej szuflady. Kalendarz,

rysunek Ike'a Mazzarda...

- Zaraz podejdzie, proszę pani - powiedziała Esther.- Mam

nadzieję, że nie stało się nic dzieciom.

- Nie, nic im się nie stało.

- Tb dobrze. Muszę mieć...

- Halo? - powiedział Walter.

- Walter?

- Tak, o co chodzi?

- Walterze, chcę, żebyś mnie dokładnie wysłuchał i nie klócił się ze mną. Bobbie się zmieniła. Byłam u niej. Mieszkanie wygląda

jak... Jest czyściutkie, po prostu nieskazitelnie czyste! A ona jest..., Słuchaj, masz może książeczkę czekową? Szukam jej wszędzie i

nie mogę znaleźć. Walter?

- Tak, mam ją. Kupowałem akcje, które polecił mi Dave, ale po co ci książeczka?

- Żeby zobaczyć, ile mamy. Widziałam w East-bridge dom, który...

- Joanno.

- .. .był odrobinę droższy od naszego, ale...

- Joanno, posłuchaj mnie.

- Nie zostanę tu ani chwili...

- Posłuchaj mnie, do cholery! Ścisnęła słuchawkę.

- Dobrze, mów!

- Postaram się jak najszybciej wrócić do domu - powiedział. - Do

tego czasu nie rób nic. Słyszysz? I nie załatwiaj żadnych spraw finansowych. Myślę, że uda mi się za pół godziny stąd wyrwać.

- Nie zostanę tu ani dnia dłużej - powiedziała.

- Zaczekaj tylko, aż wrócę, dobrze? Nie można o takich sprawach rozmawiać przez telefon.

- I przynieś książeczkę czekową.

- Nie rób nic, zanim nie przyjadę - powiedział i rozłączył się.

Odłożyła słuchawkę.

Wszystkie papiery i koperty włożyła z powrotem do środkowej

szuflady i zamknęła ją. Następnie wzięła z półki książkę

telefoniczną i wyszukała numer telefonu do pani Kirgassy w

Eastbridge.

Dom, o którym myślała, dom św. Marcina był jeszcze na sprzedaż.

- Zdaje się, że nawet trochę obniżyli cenę, odkąd go pani oglądała.

- Zrobi mi pani przysługę? - zapytała Joanna. - Jesteśmy

poważnymi reflektantami, a jutro będę wiedziała na pewno.

Mogłaby się pani dowiedzieć, jaka jest ostateczna cena i dać mi natychmiast znać.

- Wkrótce się do pani zgłoszę - powiedziała pani Kirgassa. - Nie

wie pani, czy pani Markowe już coś znalazła? Umówiła się ze mną na dzisiaj i nie przyjechała.

- Zmieniła zdanie, nie przeprowadza się. Ale ja tak.

Zadzwoiła do Bucka Raymonda, pośrednika sprzedaży

nieruchomości, który pomógł im znaleźć dom w Stepford.

- Gdybyśmy na przykład jutro wystawili dom na sprzedaż, czy szybko byśmy znaleźli nabywcę? - zapytała.

- Bez wątplenia tak - powiedział Buck. - TU jest stałe

zapotrzebowanie na domy i jestem pewien, że mogą państwo

dostać za niego cenę, jaką zapłacili, a może nawet więcej. Nie jest w nim pani szczęśliwa?

- Nie - odpowiedziała.

- Przykro mi to słyszeć. Mam go wystawić na sprzedaż? Jest tu małżeństwo, które by...

- Nie, jeszcze nie teraz - powiedziała. - Dam panu znać jutro.

- Chwileczkę, zaczekaj - powiedział Walter, gestykulując

uspokajająco rękami.

- Nie - powiedziała kręcąc głową. - Nie. Cokolwiek to jest, zaczyna działać po czterech miesiącach. To znaczy, że mam tylko miesiąc

albo i mniej. Sprowadziliśmy się tu czwartego września.

- Na miłość Boską, Joanno...

- Charmaine sprowadziła się tu w lipcu. Zmieniła się w listopadzie. Bobbie przyjechała w sierpniu, a teraz mamy grudzień.

Odwróciła się i odeszła od niego. Kran nad zlewem był nieszczelny. Uderzyła go mocno i przestało kapać.

- Dostałaś przecież list z Departamentu Zdrowia - powiedział

Walter.

- Bzdura, jak mówi Bobbie. - spojrzała mu prosto w twarz. - Coś tu jest, musi być. Pójdź i sam zobacz, dobrze? - powiedziała. - Biust ma wypięty aż dotąd, biodra tak ściśnięte pasem, jakby ich w

ogóle nie miała! A dom jest jak w reklamach, taki jak domy Carol, Donny i Kit Sundersen!

- Musiała go tak czy inaczej posprzątać. Było tam jak w chlewie.

- Ona się zmieniła! Już nawet nie mówi tak jak kiedyś, nie myśli

tak samo. A ja nie zamierzam czekać na swoją kolej!

- Nie będziemy...

Kim weszła z patia z zaczerwienioną buzią, w kapturze obszytym

futerkiem.

- Wracaj na dwór, Kim - powiedział Walter.

- Potrzebujemy coś do jedzenia - powiedziała Kim. - Idziemy na wycieczkę.

Joanna podeszła do słoja z ciasteczkami, otworzyła go i wyciągnęła kilka.

- Masz - powiedziała, wkładając ciasteczka do rączek w rękawiczkach. - Nie odchódźcie daleko, robi się ciemno.

- A możemy dostać Oreosy?

- Nie ma już! No, idź.

Kim wyszła, a Walter zamknął drzwi.

Joanna strząsnęła z dłoni okruszki po ciastkach.

- Tamten dom jest ładniejszy od tego - powiedziała. - I możemy go kupić za cenę tego. Tak powiedział Buck Raymond.

-r- Nigdzie się nie przeprowadzamy - powiedział Walter.

- Przecież zgodziłeś się!

- W lecie, nie...

- W lecie nie będę już sobą!

- Joanno...

- Czy ty tego nie rozumiesz? To się stanie w styczniu!

- Nic ci się nie stanie!

- To samo powiedziałam Bobbie! Śmiałam się, że pije wodę z butelek. Podeszedł bliżej do niej.

- Nie ma nic w wodzie ani też w powietrzu - powiedział. - Zmieniły się dokładnie z tych

powodów, jakie ci podały: zdały sobie sprawę z tego, jakie były nieporządne i leniwe. Najwyższy czas, żeby

Bobbie zaczęła dbać o swój wygląd. Ty też mogłabyś od czasu do czasu zajrzeć do lustra.

Spojrzała na niego, a on odwrócił wzrok, czerwieniąc się i znów na nią spojrzał.

- Naprawdę - powiedział. - Jesteś bardzo ładną kobietą, ale nie dbasz o siebie, chyba że jest jakaś specjalna okazja.

Odwrócił się od niej, podszedł do kuchenki i zaczął kręcić kurkiem raz w jedną, raz w drugą stronę.

Spojrzała na niego.

- Wiesz, co zrobimy? - powiedział.

- Chcesz, żebym się zmieniła? - zapytała.

- Oczywiście, że nie, nie wyglupiaj się - odwrócił się.

- Czy tego chcesz? Chcesz mieć wyfiokowaną, szczebioczącą kurę domową?

- Powiedziałem tylko, że...

- To dlatego przeprowadziliśmy się tu, a nie gdzie indziej? Czy

ktoś dał ci cynk, że jeżeli tu przywieziesz żonę, to w ciągu czterech miesięcy się zmieni, bo tu jest coś w powietrzu?

- W powietrzu nic nie ma, a jedyny cynk, jaki dostałem, to taki, że są tu dobre szkoły i niskie podatki. Poczekaj, spróbuję spojrzeć na wszystko z twojego punktu widzenia i postaram się to jakoś

ocenić. Chcesz się wyprowadzać, bo boisz się, że możesz się

“zmienić”. Wydaje mi się, że trochę przesadzasz i hi-

steryzujesz. W obecnej sytuacji przeprowadzka byłaby

niepotrzebnym obciążeniem dla wszystkich, a w szczególności dla

dzieci. - Zatrzymał się, by złapać oddech.

- Dobrze, zrobimy w ten sposób - powiedział. - Rozmawiaj z

Alanem Hollingsworthem, a jeśli powie, że jesteś...

- Z kim?

- Alanem Hollingsworthem - powiedział, unikając jej wzroku. -

Jest psychiatrą. No, wiesz... - Znow spozrzał na nią. - Jeśli nie powie, że przechodzisz przez jakiś...

- Nie potrzebuję psychiatry. A nawet jeżeli, to z pewnością nie

zechcę Alana Hollignswortha. Widziałam jego żonę na spotkaniu

Komitetu Rodzicielskiego. Jest jedną z nich. Na pewno powie, że

jestem nie zrównoważona psychicznie.

- To znajdź kogoś innego. Kogo zechcesz. Jeśli nie przechodzisz

jakiegoś... Jeśli nie masz jakichś urojeń czy czegoś w tym stylu, przeprowadzimy się, jak tylko będzie można. Zobaczę jutro ten

dom, a nawet może dam zadatek.

- Nie potrzebują psychiatry - powiedziała. - Chcę wyjechać ze

Stepford.

- Uspokój się, Joanno. Wydaje mi się, że jestem sprawiedliwy.

Każesz nam przechodzić przez kolejny poważny przewrót w życiu,

a wydaje mi się, że jesteś nam wszystkim, a głównie sobie, winna

logiczne rozpatrzenie i przemyślenie sprawy.

Spojrzała na niego.

- No i co? - spytał.

Nie odezwała się. Spojrzała na niego.

- No i co? - powtórzył. - Czy nie mówię rozsądnie?

- Bobbie zmieniła się, kiedy była sama z Da-ve'em, a Charmaine

zmieniła się, kiedy była sama z Edem.

Odwrócił wzrok, kręcąc głową.

- Czy taki sam los spotka mnie? Kiedy zrobimy sobie ten weekend

tylko we dwoje?

- To był twój pomysł - powiedział.

- A gdybym nie zaproponowała, to czy ty byś zaproponował?

- Czy zdajesz sobie sprawę, co mówisz? Chcę, żebyś przemyślała

to, co ci powiedziałem. Nie możesz tak bez namysłu rozbijać

naszego życia. To nierozsądne. - Odwrócił się i wyszedł z kuchni.

Stała z ręką przy czole i zamkniętymi oczyma. Pozostała tak przez chwilę, a potem opuściła rękę, otworzyła oczy i potrząsnęła

głową. Podeszła do lodówki, otworzyła i wyciągnęła przykrytą

miskę i mięso w folii.

Siedział przy biurku, pisząc coś w żółtym bloczku. Z popielniczki unosiła się w kierunku lampy

smużka dymu. Spojrzał na nią i

zdjął okulary.

- W porządku - powiedziała. - Porozmawiam z kimś, ale będzie to

kobieta.

- Dobrze. To dobry pomysł.
- A ty jutro wpłacisz zadatek na dom?
- Tak, chyba, żeby coś z nim było nie w porządku.
- Nie będzie. To dobry dom, ma tylko sześć lat i czystą hipotekę.
- Dobrze - powiedział. Stała przyglądając mu się.
- Czy chciałbyś, żebym się zmieniła?
- Nie. Chciałbym tylko, żebyś od czasu do czasu używała szminki.

To niewielka zmiana. A i ja chciałbym się zmienić, na przykład stracić parę kilogramów.

Odrzuciła włosy do tyłu.

- Idę na dół popracować trochę w ciemni. Pete jeszcze nie śpi.

Zwrócisz na niego uwagę?

- Jasne - odpowiedział z uśmiechem. Spojrzała na niego i odeszła.

Zadzwoiła do Departamentu Zdrowia, skąd odesłano ją do

Towarzystwa Medycznego, gdzie podano jej nazwiska i telefony

pięciu kobiet-psychiatrów. Dwie zamieszkałe najbliżej, w

Easbridge, miały wszystko zajęte do połowy stycznia, ale trzecia z Sheffield, leżącego na północ od Norwood, mogła ją przyjąć w

sobotę o drugiej - pani dr Margaret Fancher. Przez telefon

wydawała się bardzo sympatyczna.

Skończyła pisać kartki świąteczne i szyć kostium Pete'a, kupiła

zabawki i książki dla Pete'a i Kim oraz butelkę szampana dla

Bobbie i Dave'a. W mieście zdobyła złotą klamrę do pasa dla

Waltera i postanowiła przetrząsnąć wszystkie antykwariaty na Route Nine w poszukiwaniu starych dokumentów prawnych, ale zamiast tego kupiła mu brązową wełnianą marynarkę.

Nadeszły pierwsze kartki świąteczne: od jej rodziców, od współpracowników Waltera, od McCormicków, Chamalianów i van Santów. Ustawiała je wszystkie w salonie na półce z książkami.

Z agencji nadszedł czek na sto dwadzieścia pięć dolarów.

W piątek po południu, mimo pięciocentymetrowego śniegu, który padał cały czas, wzięła Pete'a i Kim do samochodu i pojechała do Bobbie.

Bobbie przywitała ich bardzo miło, a Adam, Ken-ny i psy - z wielkim hałasem. Bobbie przygotowała czekoladę na gorąco, a Joanna zaniósła ją na ławy do salonu.

- Uważaj na stopień! - powiedziała Bobbie. - Rano wypastowałam podłogę.

- Zauważyłam.

Siedziała w kuchni, obserwując Bobbie. Była piękna, kształtna.

Właśnie zaczęła czyścić piecyk papierowym ręcznikiem oraz płynem do czyszczenia w aerozolu.

- Co ty ze sobą zrobiłaś, na miłość boską? - spytała.

- Nie jem tyle, co przedtem - powiedziała Bobbie. - No i trochę ćwiczę.

- Zrzuciłaś z pięć kilo!

- Nie, tylko jedno albo półtora, ale noszę pas elastyczny.

- **Bobbie, powiesz mi wreszcie, co się wydarzyło w zeszły**

weekend?

- **Nic się nie wydarzyło. Zostaliśmy w domu.**

- **Paliałś albo brałaś coś? Chodzi mi o narkotyki.**

- **Coś ty, nie wyglupiaj się.**

- **Bobbie, przecież ty już nie jesteś sobą. Czy tego nie widzisz?**

Jesteś taka jak one!

- **Naprawdę, Joanno, to nonsens. Oczywiście, że jestem sobą. Po prostu zdałam sobie sprawę, jak bardzo byłam nieporządna i zbyt pobłażliwa dla siebie, a teraz po prostu sumiennie wypełniam swoje obowiązki, tak jak Dave wypełnia swoje.**

- **Wiem, wiem - powiedziała.- A co on na to?**

- **Jest bardzo szczęśliwy.**

- **Założę się, że tak.**

- **len płyn jest naprawdę świetny. Używasz go?**

Jeszcze nie zwariowałam, pomyślała. Nie zwariowałam.

Jonny i dwaj chłopcy lepił balwana przed domem naprzeciwko.

Zostawiła Pete'a i Kim w samochodzie i podeszła do Jonny'ego, żeby się przywitać.

- **O! Witam! - powiedział. - Ma pani dla mnie jakieś pieniądze?**

- **Jeszcze nie - odrzekła, zasłaniając twarz przed dużymi płatkami śniegu. - Jonny, nie mogę pogodzić się z tym, że tak bardzo**

zmieniła się twoja matka.

- **Rzeczywiście - powiedział i kiwnął głową zasapany.**

- Nie mogę tego zrozumieć.

- Ani ja - powiedział, - Już nie krzyczy na nas, robi gorące

śniadania... - Spojrzał w stronę domu i ściągnął w zamyśleniu

brwi. Do twarzy przyklepione miał płatki śniegu. - Mam nadzieję,

że tak zostanie - powiedział. - Ale założę się, że nie.

Dr Fancher była drobną kobietą, około pięćdziesiątki, z

twarzą elfa i kłębami siwiejących, ciem-

nych włosów. Miała ostry, lekko zadarty nos i śmiejące się

szaroniebieskie oczy. Była w ciemnoniebieskiej sukience, miała

złotą spinkę z wygrawerowanym chińskim symbolem Yang i Yin

oraz obrączkę ślubną. Jej gabinet był wesoły, meble w stylu

**Chippendale, reprodukcje Paula Klee i pasiaste firanki, które pod wpływem słońca i śniegu
wydawały się całkiem przezroczyste.**

Była tam brązowa, skórzana kanapa z obitym ceratą

podglówkiem. Jednak Joanna woląca usiąść na krześle, stojącym

naprzeciwko mahoniowego biurka, na którym leżało mnóstwo

porozrzucanych karteczek.

- Przyszłam tu na prośbę męża - powiedziała. - Na początku września sprowadziłam się do Stepford, a ja chcę jak najszybciej wyprowadzić się stamtąd. Już daliśmy zadatek na dom w Eastbridge, ale tylko dlatego, że ja nalegałam. Mąż uważa, że jestem nierozsądna.

Opowiedziała Dr Francher, dlaczego chce się przeprowadzić. O kobietach ze Stepford i o tym, jak Charmaine, a następnie Bobbie upodobniły się do nich.

- Była pani kiedykolwiek w Stepford? - spytała.

- Tylko raz. Słyszałam, że warto je zwiedzić. Słyszałam również, że jest tam raczej zamknięta, niekomunikatywna społeczność.

- I tak jest, proszę mi wierzyć.

Dr Francher słyszała o mieście w Teksasie, gdzie w pewnym momencie bardzo spadł wskaźnik przestępczości.

- To stało się zapewne za sprawą litu - powie-

działa. - Był na ten temat artykuł w jednym z czasopism.

- Razem z Bobbie napisałyśmy do Departamentu Zdrowia, ale odpowiedzieli, że w okolicy Stepford nie występują żadne związki chemiczne, które mogłyby w jakikolwiek sposób oddziaływać na mieszkańców. Pewnie pomyśleli, że to jakieś wariatki. Wówczas wydawało mi się, że Bobbie była przewrażliwiona. Pomogłam jej napisać list, ale tylko dlatego, że mnie o to prosiła... - mówiła niepewnie, rozcierając dłonie.

Dr Francher milczała.

- Zaczęłam podejrzewać,.. - powiedziała Joanna. - Boże,

“podejrzewać”, to brzmi tak... - zaczęła kurczowo wykręcać palce.

Dr Francher spytała:

- Co pani zaczęła podejrzewać? Rozplotła ręce i wytarła o spódnice.

- Zaczęłam podejrzewać, że za tym stoją mężczyźni.

Lekarka nie uśmiechnęła się ani nie wyglądała na zaskoczoną.

- Jacy mężczyźni? - spytała. Joanna popatrzyła na ręce.

- Mój mąż, mężowie Bobbie i Charmaine. Wszyscy - dokończyła.

Opowiedziała o Stowarzyszeniu Mężczyzn.

- Pewnej nocy parę miesięcy temu robiłam zdjęcia w Centrum.

Tam, gdzie są te sklepiki w stylu kolonialnym. Nad nimi góruje

ten budynek. Okna były otwarte i czuć było zapach jakiegoś

lekarstwa czy che-

mikaliów. Nagle poopuszczali żaluzje, może zauważyli, że tam

stałam. Widział mnie policjant. Zatrzymał się, by ze mną

porozmawiać. - Pochyliła się do przodu. - Na Route Ninę są różne

dziwne pojemniki przemysłowe - powiedziała - a wielu mężczyzn,

którzy są na wysokich stanowiskach, mieszka w Stepford i należy

do Stowarzyszenia. Coś tam się dzieje co noc i nie wydaje mi się, aby to było tylko robienie zabawek dla ubogich dzieci, gra w

pokera czy bilard. Poza tym istnieje w Stepford przedsiębiorstwo

AmeriChem-Willis i Stevenson Biochemical. Przecież mogliby

tam w Stowarzyszeniu coś preparować, o czym nie wiedziałby

Departament Zdrowia... - Usiadła głębiej w krześle, opierając ręce o przykryte spódnicą uda i nie patrząc na dr Francher.

Lekarka zadała jej kilka pytań, dotyczących życia rodzinnego, jej zainteresowań fotografowaniem, zapytała o to gdzie i jak

pracowała oraz o Waltera, Pete'a i Kim.

- Każda przeprowadzka powoduje jakieś urazy psychiczne -

powiedziała. - W szczególności przeprowadzka z miasta na

provincję jest dość stresująca dla kobiety, która nie potrafi

znaleźć się wyłącznie w roli gospodyni domowej. Można się

wówczas poczuć jakby wysłanym na Syberię. - Uśmiechnęła się do

Joanny. - A okres wakacyjny wcale nie sprzyja aklimatyzacji,

odwrotnie, ma się wówczas tendencję do wyolbrzymiania różnych

niepokojów. Często myślałam o tym, że raz w życiu powinno się

zrobić całoroczne wakacje i zapomnieć o wszystkim.

Joanna uśmiechnęła się.

Dr Francher pochyliła się do przodu splatając dłonie i opierając

się łokciami na biurku.

- Rozumiem, że nie jest pani zachwycona życiem w miasteczku z

kobietami przywiązanymi do obowiązków domowych. Ja też,

podobnie jak wiele kobiet z innymi zainteresowaniami, nie

byłabym zachwycona. Ale zastanawiam się - a podejrzewam, że i

pani mąż także - czy na pewno byłaby pani szczęśliwsza w

Eastbridge, czy gdziekolwiek indziej w obecnym okresie?

- Wydaje mi się, że tak - powiedziała Joanna.

Dr Francher patrzyła na swoje mocno zaciśnięte ręce. Potem

podniosła wzrok na Joannę.

- W każdym miasteczku - powiedziała - z czasem, jak zamieszkują

je nowi ludzie, tworzy się jego specyficzny charakter. Na przykład tu, w Sheffield, zamieszkało kiedyś paru artystów i pisarzy, za

nimi ściągnęli następni, a ludzie, którym to życie wydawało się

zbyt cygańskie, wyprowadzili się stąd. Teraz jest to miasteczko

artystów i pisarzy. Oczywiście nie tylko, ale wystarczająco, aby

różnić się od Norwood i Kimball. Jestem pewna, że w ten sam

sposób ukształtował się charakter Stepford. To mi się wydaje

bardziej prawdopodobne, niż myśl, że wszyscy mężczyźni

zjednoczyli się przeciwko kobietom, by zrobić im pranie mózgu.

Poza tym, czy byłoby to w ogóle możliwe? Mogliby je czymś

odurzyć, ale z tego, co pani mówi, nie wynika, by były

czymkolwiek odurzone. Taka akcja byłaby bardzo trudna nawet

dla najwyższej klasy uczonych.

- Wiem, że to brzmi... - zaczęła Joanna. Po-masowała skronie.

- I brzmi - dokończyła dr Francher - jak skarga kobiety, która ma powody, by czuć głęboką urazę i podejrzenia wobec mężczyzn;

kobiety, która jest wewnętrznie rozdarta i to bardziej, niż jej się wydaje. Z jednej strony jest wciągnięta w tradycyjny układ, z

drugiej - natomiast w nowy porządek świata, który jest

następstwem emancypacji kobiet.

Joanna pokręciła głową.

- Gdyby pani mogła tylko zobaczyć te kobiety w Stepford. One są

jak aktorki z reklam - wszystkie. Nie, nie aktorki. One są...

Wyprostowała się na krześle.

- Cztery lub pięć tygodni temu był w telewizji taki program. Moje dzieci go oglądały. Pokazywano w nim postacie wszystkich

prezydentów, które poruszały się i robiły różne miny. Abraham

Lincoln wstał i wygłosił Orędzie spod Gettysburga. Był jak żywy,

tak że można było... - Skamieniała.

Dr Francher zaczęła, a potem pokiwała głową.

- Myślę, że zamiast zmuszać rodzinę do natychmiastowej

przeprowadzki, powinna pani...

- Disneyland - powiedziała Joanna. - To był program z

Disneylandu...

Dr Francher uśmiechnęła się.

- Tak, wiem. Moje wnuki były tam w zeszłe wakacje. Mówiły mi, że “spotkały” Lincolna.

Joanna odwróciła się od niej, patrząc w dal.

- Uważam, że powinna pani poddać się leczeniu - ciągnęła pani doktor. - Myślę, że mogłabym pani pomóc. Z pewnością warto poświęcić na to kilka godzin, prawda?

Joanna, siedząc wciąż nieruchomo, kiwnęła głową.

Dr Francher wzięła długopis i zaczęła wypisywać receptę.

Joanna spojrzała na nią. Wstała i wzięła z biurka swoją torebkę.

- To powinno pani pomóc na razie - powiedziała dr Francher

pisząc. - To jest łagodny środek uspokajający. Może pani brać trzy razy dziennie. - Oderwała receptę od bloczku i podała z

uśmiechem Joannie. - I nie sprawi, że zacznie się pani interesować tylko sprzątaniami i pracami domowymi.

Joanna wzięła receptę.

Dr Francher wstała.

- Wyjeżdżam na tydzień w okresie świąt. Ale już od trzeciego

stycznia możemy zacząć kurację. Proszę zadzwonić do mnie w poniedziałek lub wtorek i dać mi znać, co pani zdecydowała,

dobrze?

Joanna skinęła głową.

Dr Francher uśmiechnęła się.

- Tb jeszcze nie jest katastrofa - powiedziała. - Naprawdę, sędzę, że mogę pani pomóc. -
Wyciągnęła rękę.

Joanna pożegnała się i wyszła.

W bibliotece był tłok. Pani Austrian powiedziała, że znajdzie to, czego szuka w piwnicy: drzwi
na lewo, dolna półka; proszę je

wstawić z powrotem na miejsce; proszę nie palić papierosów i po
wyjściu zgasić światło.

Zeszła po wąskich schodach, trzymając się ściany, bo nie było tam poręczy.

' mów, tanich dań, informację o pożarze w kościele Metodystów

oraz otwarciu miejscowego krematorium,

STOWARZYSZENIE MEŹCZYZN KUPUJE DOM TERHUNOW.

Dale Coba prezes...

Cofając się opuściła kolejny rok i przeszła do następnego.

Otworzyła tom przy końcu.

LIGA KOBIEŃ GŁOSUJĄCYCH MOŻE ZAWIESIĆ DZIAŁALNOŚĆ.

I co w tym takiego dziwnego?

Jeżeli nie przestanie zmniejszać się grono członkiń, Liga Kobiet

Głosujących w Stepford może być zmuszona do zamknięcia

swoich drzwi, ostrzega nowa przewodnicząca, pani van Sant z

Fairview Lane...

Carol?

Dalej, dalej.

STOWARZYSZENIE MEŹCZYZN PONOWNIE WYBIERA DALE'A

COBE. *Dale Coba z Anvil Road został ponownie wybrany*

prezesem na następną dwuletnią kadencję rozwijającego się...

A więc jeszcze dwa lata do tyłu.

Przeskoczyła trzy tomy.

Kradzież, pożar, bazar, śniegi.

Podnosiła strony jedną ręką- a odwracała drugą; szybciej,

szybciej.

POWSTAJE STOWARZYSZENIE MĘŻCZYŹN. *Dwunastu*

mężczyzn, którzy wyremontowali starą stodołę przy Switzer

Lane, gdzie spotykali się od roku, założyło Stowarzyszenie

Mężczyzn w Stepford i czekają na nowych członków. Dale Coba z

Anvil Road został wybrany prezesem, Duane T. Anderson ze

Switzer Lane

Drzwi na lewo. W środku znalazła kontakt i włączyła światło.

Otoczyły ją rażąca fluorescencja, zapach starego papieru i

wzmagający się odgłos pracy silnika.

Pokój był mały i niski. Stolik z czterema prostymi, drewnianymi

krzesłami otoczony był ścianami z półkami pełnymi książek.

Z ich dolnej części wystawały dwa brązowe tomy.

Położyła na stole torebkę, zdjęła płaszcz i powiesiła na jednym z krzesel.

Zacząła od przeglądania *Kronik* sprzed pięciu lat.

KLUB OBYWATELSKI I STOWARZYSZENIE MĘŻCZYŹN

ZAMIERZAJĄ SIĘ POŁĄCZYĆ.

“Na wniosek władz obu Stowarzyszeń w ciągu najbliższych kilku

tygodni połączą się one w jedną organizację. Wiadomość tę

potwierdzili Thomas C. Miller III i Dale Coba, prezesi obu... ”

Przerzucała strony od tyłu, poprzez wiadomości sportowe,

informacje o pogodzie, o kradzieżach, wypadkach i kłótniach w

szkole.

KLUB KOBIET ZAWIESZA SPOTKANIA. *Klub Kobiet ze Stepford*

zawiesza swoje cotygodniowe spotkania ze względu na malejącą

liczbę członkiń, tak twierdzi obecna przewodnicząca Klubu, pani

Ockrey, która piastuje to stanowisko dopiero od dwóch

miesięcy, po poprzedniej przewodniczącej, pani Hollingsworth. -

To tylko tymczasowe zawieszenie - powiedziała nam pani

Ockrey w swoim domu przy Fox Hottow Lane. - Planujemy

wznowienie działalności Klubu wczesną wiosną.

Co pani mówi, pani Ockrey.

Cofnęła się jeszcze poprzez reklamy starych fil-

jego zastępcą, a Robert Swenner Jr z Gwendofyn Lane -

sekretarzem-skarbnikiem. Celem stowarzyszenia, jak mówi pan

Coba, są spotkania towarzyskie: poker, rozmowy męskie,

wspólne zainteresowania i rozwijanie umiejętności.

Organizowanie stowarzyszeń to zainteresowania rodzinne

państwa Cobów. Pani Coba była jedną ze współzałożycielek

miejscowego Klubu Kobiet, mimo że ostatnio wycofała się z

działalności, podobnie jak panie Anderson i Swenner. Pozostali

członkowie Stowarzyszenia Mężczyzn to Claude Axhelm, Peter J.

Duwicki, Frank Ferretti, Steen Margolies, Ike Mazzard, Frank

Rodden-berry, James /. Scofield, Herbert Sundersen i Martin /.

Weiner. Panowie zainteresowani szczegółami powinni...

Przeskoczyła dwa kolejne tomy i teraz przewracała strony

poszczególnych *Kronik* szukając Informacji o przybyszach w stałej rubryce na stronie drugiej,

"...Pan Ferret jest inżynierem w laboratorium rozwoju systemów, w korporacji CompuTech."

"...Pan Sumner, który jest specjalistą od barwników i tworzyw sztucznych, ostatnio przeniósł się do Ameri-Chem-Willis, gdzie prowadzi badania nad polimerami winylu."

"Informacje o przybyszach", "Informacje o przybyszach".

..Zatrzymywała się wówczas, gdy natrafiała na nazwisko któregoś z członku Klubu, powtarzając sobie w kółko, że miała rację, miała rację.

"...Pan Duwicki, znany wśród przyjaciół jako Wiek, pracuje w Instatronie, w wydziale obwodów scalonych."

"...Pan Weiner pracuje w Sono-Traku, który wyodrębnił się z Instatronu."

"...Pan Margolies pracuje w Reed & Saunders przy produkcji urządzeń stabilizujących."

Stawiała tomy na miejscu, wyciągając następne i kładąc je na stół.

"...Pan Roddenberry jest szefem w laboratorium opracowania systemów w CompuTech."

"...Pan Sundersen projektuje sensory optyczne dla korporacji Ulitz Opncs."

I wreszcie znalazła.

Przeczytała cały artykuł.

"Nowymi sąsiadami na Anvil Road są państwo Coba; ich

synowie to Dale Jr, lat cztery i Darren, lat dwa. Państwo Coba przyjechali tu z Anaheim, w Kalifornii, gdzie mieszkali sześć lat. - Jak dotąd, podoba nam się ta okolica - powiedziała pani Coba. - Nie wiem, jak będziemy się czuć, gdy nadejdzie zima. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do niskich temperatur

Państwo Coba oboje uczęszczali do Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, a pan Coba pracę dyplomową pisał w Kalifornijskim Instytucie Technologii Przez ostatnie sześć lat pracował w Disneylandzie, przy animacji mówiących postaci prezydentów, które były przedstawione w sierpniowym numerze National Geographic. Jego hobby to polowanie i gra na pianinie. Pani Coba, która specjalizowała się w językach obcych, obecnie w wolnych chwilach tłumaczy klasyczną powieść norweską "Córki komandora".

Praca pana Coby w Stepford nie będzie zapewne tak fascynująca jak w Disneylandzie; zaangażował się do działu badań i rozwoju w Bumham-Massey-Microtech"

Zachichotała.

Badania i rozwój! Nie będzie zapewne tak fascynująca!

Chichotała i chichotała.

Nie mogła przestać.

Nie chciała!

Śmiała się stojąc u patrząc na "Informacje o przybyszach"

umiejszczone w porządnej kolumnie. Nie będzie zapewne tak

fascynująca! Boże drogi w niebie!

Zamknęła ze śmiechem opasły brązowy tom, podniosła go wraz z drugim leżącym pod spodem i wstawiła na miejsce, na dolnej półce.

- Pani Eberhart? - zawołała z góry pani Austrian. - Jest za pięć szósta. Zamykamy, Na miłość Boską, przestań się śmiać.

- Skończyłam! - zawołała. - Właśnie odkładam wszystko na

miejsce.

- Proszę je tylko poukładać według kolejności.

- Dobrze! - zawołała.

- I proszę zgasić światło.

- Jawohl!

Odłożyła tomy na miejsce w mniej więcej właściwej kolejności.

- O Boże! - powiedziała chichocząc. - Zapewne!

Wzięła płaszcz i torebkę, wyłączyła światło i poszła na górę, skąd zaglądała do niej pani Austrian.

- Nic dziwnego!

- Znalazła pani to, czego szukała? - spytała pani Austrian.

- O tak - powiedziała, próbując się powstrzymać od śmiechu. -

Dziękuję pani bardzo, jest pani źródłem wiedzy, pani i ta

biblioteka. Dziękuję. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała pani Austrian.

Poszła do apteki, bo teraz naprawdę potrzebowała czegoś na

uspokojenie. Aptekę również zamykano; w środku panował

półmrok i poza Cornellami nikogo już w niej nie było. Wręczyła

receptę panu Cor-nellowi, który ją przeczytał i powiedział:

- Zaraz pani dam. - I poszedł na zaplecze.

Popatrzyła na wiszące grzebienie i uśmiechnęła się. Odwróciła

się, bo szczęknęło za nią szkło.

Pani Cornell stała w zaciemnionej części apteki, po drugiej

stronie lady. Przecierała coś szmatką, czyściła półkę i stawiała coś na miejsce, stukając szkłem.

Była wysoką blondynką o długich

nogach i z dużym biustem. Tak ładna, jak na przykład dziewczyna

like'a Mazzarda. Znow zdjęła coś z półki, wytarła, postawiła to coś na miejsce, stukając szkłem; ponownie coś zdjęła z półki i...

- Dzień dobry - powiedziała Joanna. Pani Cornell odwróciła głowę.

- Pani Eberhart - powiedziała z uśmiechem. - Witam. Co u pani?

- Wszystko bardzo dobrze - odpowiedziała Joanna. - A u pani?

- Dziękuję, wszystko w porządku.

Wytarła to, co trzymała w dłoni, potem półkę, postawiła coś na niej; szcęk szkła; ponownie coś zdjęła z półki, wytarła i...

- Robi to pani bardzo dobrze - powiedziała Joanna.

- Tylko ścieram kurze - powiedziała pani Cornell, wycierając półkę.

Z zaplecza dochodził stukot maszyny do pisania.

- Czy pani zna Orędzie Gettysburskie?

- Obawiam się, że nie - powiedziała wycierając coś.

- Przecież każdy to zna - powiedziała Joanna. - Siedem lat temu osiemdziesiąt,..

- Tb znam, ale nie znam dalszego ciągu - powiedziała pani Cornell.

Postawiła coś na półkę. Dzwonienie szkła, zdjęła coś ponownie i wytarła.

- Nie szkodzi, nie musi pani znać - powiedziała Joanna. - A zna

pani "Mała świnka poszła do sklepu"?

- Oczywiście - powiedziała wycierając półkę.

- Płaci pani? - spytał pan Cornell, trzymając w wyciągniętej dłoni słoiczek z białą przykrywką.

- Tak - powiedziała biorąc go do ręki. - Ma pan odrobinę wody?

Chciałabym wziąć jedną od razu.

Kiwnął głową i wyszedł na zaplecze.

Stojąc ze słoiczkiem, zaczęła się trząść. Za jej plecami zadzwoniło szkło. Zdjęła przykrywkę i wyciągnęła kłębuszek waty. W środku

były białe tabletki; wzięła jedną do ręki, włożyła watkę na miejsce i wcisnęła z powrotem przykrywkę. Za nią zadzwoniło szkło.

Pan Cornell wyszedł, niosąc wodę w papierowym kubeczku.

- Dziękuję - powiedziała. Włożyła tabletkę do ust, popiła wodą i połknęła.

Pan Cornell pisał na bloczku. Miał na czubku głowy białą łysinę, przypominającą schowanego pod skalą ślimaka; starał się ją zasłonić, zaczesując rzadkimi, ciemnymi włosami. Wypiła wodę do końca, postawiła kubek i włożyła słoiczek do torebki. Szkło zadzwoniło za jej plecami.

Pan Cornell podsunął jej bloczek i z uśmiechem podał swój długopis. Był brzydki, miał małe oczka i bardzo cofniętą brodę.

Wzięła długopis.

- Ma pan śliczną żonę - powiedziała, podpisując się na bloczku. -

Jest ładna, uczynna i posłuszna panu; szczęściarz z pana. - Podała mu długopis.

Wziął go i patrząc w dół powiedział:

- Wiem.

- To miasto jest pełne takich szczęściarzy - powiedziała Joanna. -

Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedział.

- Dobranoc - powiedziała pani Cornell. - Proszę do nas zaglądać.

Wyszła na ulicę, udekorowaną i oświetloną świątecznie. Kilka samochodów minęło ją rozchlapując śnieg.

W Stowarzyszeniu paliły się światła, podobnie jak w domach wyżej na wzgórzu. Czerwone, zielone i pomarańczowe światełka mrugały w niektórych z nich.

Głęboko odetchnęła mocnym powietrzem i przeszła przez zwały śniegu na drugą stronę ulicy, tupiąc butami.

Podeszła do oświetlonej szopki i przyglądała się Maryi, Józefowi i Dzieciątku oraz otaczającym ich barankom i cielaczkom.

Wyglądali bardzo naturalnie, chociaż odrobinę disneyowsko.

- Czy również mówicie? - spytała Maryję i Józefa.

Bez odpowiedzi, tylko się uśmiechali.

Stała tam - nawet już się nie trzęsła - a potem zawróciła w

kierunku biblioteki.

**Wsiadła do samochodu, włączyła silnik, zapaliła światła,
wykręciła i pojechała pod górę, mijając po drodze szopkę.**

**Kiedy już była na ścieżce, drzwi domu otworzyły się, a Walter
spytał.**

- Gdzie byłaś?

Na progu otrząsnęła się buty.

- W bibliotece.

**- Czemu nie zadzwoniłaś? Myślałem, że miałaś jakiś wypadek. W
taki śnieg...**

- Szosy są puste - powiedziała, wycierając buty o wycieraczkę.

- Na miłość Boską, powinnaś była zadzwonić. Jest już po szóstej.

Weszła do środka, a on zamknął drzwi.

Położyła na krześle torebkę i zaczęła zdejmować rękawiczki.

- Jaka ona jest? - spytał.

- Bardzo miła. Współczująca.

- Co powiedziała?

Włożyła do kieszeni płaszcza rękawiczki i zaczęła go rozpinać.

**- Uważa, że potrzebna mi krótka terapia, żebyś doszła do ładu
sama z sobą przed przeprowadzką. Jestem ponoć "rozdwojona
uczuciowo".**

Zdjęła płaszczy.

- 16 brzmi rozsądnie. Przynajmniej dla mnie. A co ty o tym

myślisz? - spytał.

Spojrzała na swój płaszcz, który trzymała za kołnierz i rzuciła go na torebkę leżącą na krześle. Miała zimne dłonie i patrząc na nie zaczęła je rozcierać.

Spojrzała na Waltera. Baczenie jej się przyglądał z lekko przechyloną głową. Na jego policzkach pojawił się ciemny zarost, przez co dołek w brodzie wydawał się jeszcze głębszy. Był pełniejszy na twarzy, niż sądziła, przytył, a pod pięknymi, niebieskimi oczyma porobiły się fałdki tłuszczu. Ile miał lat?

Trzeciego marca skończy czterdzieści.

- Dla mnie to brzmi jak nieporozumienie, wielkie nieporozumienie. - Opuściła ręce i wygładziła boki spódnicy. -

Zabieram Pete'a i Kim do miasta. Do Shepa i...

- Po co?

- ... Sylvii albo do hotelu. Zadzwonię do ciebie za dzień lub dwa.

Albo poproszę kogoś, żeby do ciebie zadzwonił. Adwokata.

Patrzył na nią z niedowierzaniem i spytał:

- O czym ty mówisz?

- Wiem, czytałam stare *Kroniki*. Wiem, czym się zajmował Dale Coba i wiem, co robi teraz, on i ci pozostali geniusze z CompuTech i Instatronu.

Patrzył na nią, mrugając oczyma.

- Nie wiem, o czym ty mówisz.

- Daj spokój. - Odwróciła się i poszła korytarzem do kuchni, włączając po drodze światła. W salonie było ciemno. Odwróciła się. W drzwiach stał Walter.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówisz - powiedział.

Minęła go w przejściu.

**- Przestań klamać - powiedziała. - Okłamywałeś mnie, odkąd
zrobiłam pierwsze zdjęcie.**

Weszła po schodach na górę. - Pete! Kim! - zawołała.

- Nie ma ich tu.

Spojrzała na niego sponad poręczy, gdy szedł z korytarza.

**- Gdy cię tak długo nie było, pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jeśli się je stąd zabierze na
noc. W razie, gdyby coś się stało.**

Odwróciła się, spoglądając na niego z góry.

- Gdzie oni są?

- U znajomych. Czują się dobrze.

- U jakich znajomych? Podszedł do podnóża schodów.

**- Czują się dobrze - powtórzył. Odwróciła się, aby spojrzeć wprost na niego. Znalazła poręcz i
chwyciła się jej.**

- Spędzamy weekend sami? - spytała.

**- Myślę, że powinnaś trochę odpocząć. - Stał, jedną ręką oparty o ścianę, a drugą trzymając się
poręczy. - Mówisz od rzeczy,**

Joanno.

- Jeśli chodzi o Diza, to niby jaką on w twoim mniemaniu odgrywa rolę? I co to ma znaczyć, że cały czas cię okłamuję?

- Co takiego zrobiłeś? Przyśpieszyłeś zamówienie? To dlatego wszyscy pracują podczas tego tygodnia jak w ulu? Zabawki na gwiazdkę, dobre sobie. A co ty robiłeś? Sprawdzaleś rozmiary?

- Naprawdę nie wiem, o czym ty...

- O kukle! - powiedziała i pochyliła się w jego stronę, trzymając się poręczy. - O robocie! O jak świetnie. Obrońca zaskoczony nowym

materiałem dowodowym! Marnujesz się w tych trustach i

nieruchomościach. Byłbyś dobry na sali sądowej. Ile to kosztuje?

Czy mogę wiedzieć? Umieram z ciekawości. Hę kosztuje głupia,

niewymagająca i przywiązana do kuchni żona? Zapewne majątek.

A może robią to w tym Stowarzyszeniu za śmiesznie niskie ceny?

Z dobrego serca? A co się dzieje z prawdziwymi żonami. Do

krematorium? Czy do Stawu Stepfordzkiego?

Patrzył na nią nadal, opierając się rękoma o ścianę i poręcz.

- Pójdź na górę i połóż się.

- Wychodzę. Potrząsnął głową.

- Nie w stanie, kiedy mówisz takie rzeczy. Idź na górę i odpocznij.

Zeszła o jeden stopień niżej.

- Nie zostanę tu, żeby mnie...

- Nigdzie nie wyjdiesz. A teraz idź na górę odpocząć. Postaramy się porozmawiać sensownie, kiedy się uspokoisz.

Patrzyła, jak stał oparty rękoma o ścianę z jednej i o poręcz z drugiej strony. Popatrzyła na swój płaszcz leżący na krześle, odwróciła się i szybko poszła na górę. Weszła do sypialni, zamknęła drzwi na klucz i włączyła światło.

Podeszła do komody, otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej duży, biały sweter. Rozłożyła go, włożyła ręce do rękawów, a następnie naciągnęła golf przez głowę. Zebrała włosy i wyciągnęła je spod swetra. Ktoś próbował otworzyć drzwi, a następnie zastukał.

- Joanno?

- Odwal się - powiedziała obciążając sweter. - Odpoczywam. Tak jak mi kazaleś.

- Wpuść mnie na moment.

Stała, patrząc na drzwi i nie odzywała się.

- Joanno, otwórz.

- Później. Teraz chcę być sama. Stała bez ruchu obserwując drzwi.

- W porządku. Później.

Stała przez chwilę, wsłuchując się w ciszę, a następnie odwróciła się do komody i otworzyła górną szufladę. Znalazła tam białe

rękawiczki. Włożyła na jedną, potem na drugą rękę. Wyciągnęła długi szalik w paski i zawiązała wokół szyi.

Podeszła do drzwi i nasłuchiwała, potem zgasila światło.

Poszła do okna i podniosła żaluzje. Ścieżkę oświetlała latarenka.

U Claybrooków w salonie paliło się światło, ale nie zauważyła żadnej sylwetki. W górnych pokojach było ciemno.

Ostrożnie i cicho podniosła okno. Ale pozostało jeszcze okno zimowe. Całkiem o nim zapomniała. Spróbowała od dołu. Ani drgnęło. Uderzyła w nie pięścią i ponownie pchnęła obiema rękami. Otworzyło się, ale tylko na kilka centymetrów. Małe, metalowe drążki po obu stronach uniemożliwiały szersze otwarcie. Musiałaby je najpierw odczepić od framugi.

Nagle na śniegu pojawiła się plama światła. Walter był w

gabinecie.

Wyprostowała się nasłuchując. Usłyszała za sobą ciche terkotanie. To telefon na szefce nocnej. Terkotanie było raz długie, krótkie i znów długie.

Dzwonił z pracowni.

Dzwonił powiadomić Dale'a Cobę, że ona tu jest. Ciąg dalszy akcji.

Uruchomić wszystkie systemy.

Cichutko podeszła do drzwi i nasłuchiwała. Przekręciła klucz i uchyliła drzwi, przytrzymując je ręką. U progu pokoju Pete'a leżał jego pistolet kosmiczny. Z oddali szemrał głos Waltera.

Podeszła na palcach do schodów i zaczęła powolutku schodzić, powoli, cicho, przywierając do ściany, spoglądała w dół przez poręcz, w róg drzwi prowadzących do gabinetu.

- “---nie jestem pewien, czy dam sobie z nią radę...w

Masz cholerną rację, nie dasz sobie rady, panie adwokacie.

Jednak krzesło przy drzwiach wejściowych było puste. Jej płaszcz, torebka z kluczami do samochodu i portfelem zniknęły. Ale i tak było to lepsze wyjście niż uciekanie przez okno.

Zeszła do korytarza. On rozmawiał i zamilkł. Szukać torebki?

Poruszył się w gabinecie, a ona schowała się do salonu i plecami przywarła do ściany.

Słysząc kroki w korytarzu, zbliżały się do drzwi i ucichły.

Wstrzymała oddech.

Nastąpiła seria krótkich westchnień i szeptów - charakterystyczne dla niego odgłosy, typu "zobaczmy, co dalej", jakie wydaje z**

siebie przed podejmowaniem ważnych decyzji: zakładania zimowych okien albo składania rowerku na trzech kółkach (czy również zabijania żony? A może to zadanie należało do Coby - myśliwego?). Zamknęła oczy, próbowała nie myśleć o niczym w obawie, że jej myśli go tu sprowadzą.

Słyszała kroki. Po schodach w górę.

Otworzyła oczy i zaczęła powoli wypuszczać powietrze, czekając, kiedy wchodził wyżej i wyżej.

Pospiesznie, ale cicho przebiegła przez salon, koło schodów, stoliczka z lampką; otworzyła drzwi prowadzące do patio, otworzyła kluczem drzwi zewnętrzne i pchnęła w świeży, puszysty śnieg.

Przecisnęła się na zewnątrz i zaczęła biec po śniegu. Biegła i biegła, a serce jej biło coraz mocniej. Biegła w kierunku ciemnych drzew, po śniegu, na którym były ślady sanek oraz butów Pete'a i

Kim. Biegła, biegła, złapała się za pień drzewa, okręciła wokół niego i popędziła potykając się i szukając po omacku drogi pomiędzy pniami drzew, samymi pniami drzew. Pędziła po omacku i potykała się, starając się trzymać środka długiego pasma drzew, które oddzielały domy na Fairview Lane od tych na

Harvest Lane.

**Pragnęła dotrzeć do Ruthanne. Ona z pewnością pożyczy
pieniędzy, płaszcz, pozwoli zatelefonować do Eastbridge po
taksówkę albo do kogoś w mieście - Shepa, Doris czy Andreasa -
kogoś z samochodem, kto mógłby po nią przyjechać.**

**Dzieciom nic się nie stanie, musiała w to wierzyć. Nic im nie
będzie, a kiedy dotrze do miasta, porozmawia z adwokatem i
odbierze je Walterowi. Pewnie są pod dobrą opieką Bobbie albo
Carol, albo Mary Ann Stavros, to znaczy istot noszących te**

imiona.

A trzeba przecież ostrzec Ruthanne. Może mogłyby razem pojechać, chociaż Ruthanne pozostało jeszcze trochę czasu.

Dotarła do końca drzew i upewniając się, że nie jadą żadne samochody, przebiegła na Winter Hill Drive. Pokryte czapami śniegu świerki stały w szeregu po drugiej stronie. Pośpieszyła wzdłuż nich, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i dłońmi tylko w cienkich rękawiczkach wtulonymi pod pachy.

Gwendolyn Lane, gdzie mieszkała Ruthanne, było gdzieś blisko

Short Ridge Hill, zaraz za domem Bobbie. Dotarcie tam zajęłoby

prawie godzinę albo i więcej przy takim śniegu. A nie odważyła się jechać autostopem, bo w każdym samochodzie mógł być Walter, a

nie zorientowałaby się na czas, że to on.

Nagle uświadomiła sobie, że nie tylko Walter, ale oni wszyscy

będą jej szukali, kursując po szosach z latarkami i reflektorami.

Jak mogliby pozwolić jej um-

knąć i opowiedzieć całą prawdę? Każdy mężczyzna i każdy

samochód stanowili zagrożenie. Będzie się musiała najpierw

upewnić, czy w domu nie ma męża Ruthanne, trzeba będzie

zajrzeć przez okna.

O Boże, czy uda się jej uciec? Innym się nie udało. Ale może nie

próbowały. Bobbie nie próbowała, ani Charmaine. Może ona

pierwsza w porę odkryła prawdę. Czy na pewno w porę?

Opuściła Winter Hill i pobiegła na Talcott Lane. Nagle błysnęły

reflektory i z szosy po drugiej stronie wyjechał samochód. Skuliła się obok zaparkowanego samochodu i zastygła. Światło

reflektorów przemknęło poniżej i samochód pojechał dalej.

Stanęła i patrzyła: jechał powoli, a strumień światła padał z niego, ślizgając się po domach i śniegu pokrywającym trawniki.

Pośpieszyła wzdłuż Talcott Lane, obok cichych domów, w których

kolorowe światełka świąteczne ozdabiały okna i drzwi. Było jej

zimno w nogi i stopy, ale poza tym wszystko w porządku. Na

końcu Talcott Lane znajdowała się Old Norwood Road, stamtąd

mogła pójść Chimney Road albo Hunicutt.

W pobliżu wściekle ujadął pies, ale wkrótce ujadanie zostało

daleko poza nią.

Na udeptanym śniegu leżał czarny szkielet gałęzi. Postawiła na

nim nogę, łamiąc na pół i pobiegła dalej, trzymając ciężką, mokrą i zimną gałąź w odzianej w cienką rękawiczkę dłoni.

Na Pine Tree Lane błysnęło światło latarki. Pobiegła przez śnieg

pomiędzy domami do pokrytego śniegiem krzaka i schowała się

za nim.

Wyjrzała na tyły domów. Miały pozapalane Światła. Z dachu jednego z nich wzbijał się strumień czerwonych iskier, które tańcząc i wzlatując w górę znikwały wśród gwiazd.

Od strony dwóch domów zbliżało się kołyszące światło latarki, więc głębiej ukryła się za krzakami. Rozcierała jedno kolano, a drugie ogrzewała w zgięciu łokcia.

Blade światelko ślizgało się po śniegu, zbliżając się do niej, lekko przemknęło po jej spódnicy i rękawiczce.

Czekała, Poczekala jeszcze chwilkę i wyjrzała. Ciemna sylwetka mężczyzny poszła w stronę domów, idąc po oświetlonym latarką śniegu.

Poczekala, aż mężczyzna zniknął, wstała i pobiegła do następnej ulicy. Hickory Lane? Switzer Lamę? Nie była pewna, którą idzie, ale obie prowadziły do Short Ridge Road.

Miała odrętwiałe stopy mimo zimowych butów na futerku.

Nagle oślepiło ją światło. Odwróciła się i zaczęła uciekać, ale z naprzeciwka błysnęło następne. Zbiegła na pobocze pustej szosy i, mijając jakiś garaż, popędziła w dół długiego zbocza. Pośliznęła

się i upadła. Wygramoliła się ze śniegu, nadal trzymając w ręku gałąź. Światła zbliżały się do niej, a ona biegła po równinie śniegu.

Błysnęło kolejne światło. Nie miała gdzie się ukryć, więc miotła się w kółko, aż wreszcie zziajana stanęła w miejscu.

- Odejdźcie - krzyknęła do zbliżających się światel; dwóch z jednej i jednego z drugiej strony. Podniosła wyżej gałąź. - Odejdźcie!

Światelka zbliżały się do niej, zwolniły i wreszcie zatrzymały się, oślepiając ją swym blaskiem.

- Odejdźcie! - zawołała ponownie i zasłoniła ręką oczy.

Światło zmniejszyło się,

- Zgaście je. Nic pani nie zrobimy, pani Eberhart.

- Nie bój się. Jesteśmy przyjaciółmi Waltera. Światło zgasło, a ona opuściła rękę.

- I twoimi też. Jestem Frank Roddenberry. Znasz mnie przecież.

- Proszę się uspokoić, nikt pani nie skrzywdzi. Naprzeciw niej

stały postacie ciemniejsze od otaczającej ich ciemności.

- Proszę się nie zbliżać - powiedziała, unosząc wyżej gałąź.

- Nie jest to pani potrzebne.

- Nie skrzywdzimy cię.

- Więc odejdźcie - powiedziała.

- Wszyscy cię szukają - powiedział głos Franka Roddenberrego. -

Walter się martwi.

- Z pewnością - powiedziała. Około trzech, czterech metrów od

niej stało trzech mężczyzn.

- Nie powinna pani wychodzić bez płaszcza - powiedział jeden z

nich.

- Odejdźcie - powtórzyła.

- Połóż to - powiedział Frank. - Nikt cię nie skrzywdzi. - Proszę pani, nie dalej niż pięć minut temu rozmawiałem przez telefon z

Walterem - powiedział mężczyzna w środku. - Wiemy, co pani

myśli o nas. Ale to nie jest tak. Proszę mi wierzyć, że to nie jest tak.

- Nikt tu nie produkuje robotów - powiedział Frank.

- Musi pani nas uważać za mądrzejszych, niż jesteśmy w

rzeczywistości - powiedział mężczyzna w środku. - Czy roboty

umiałyby prowadzić samochód? Gotować? I strzyc dzieci?

- I wyglądać tak prawdziwie, że nawet dzieci by tego nie

zauważyły? - powiedział trzeci mężczyzna. Był mały i gruby.

- Musi nas pani uważać za geniuszy - powiedział ten w środku. -

Proszę mi wierzyć, nie jesteśmy geniuszami.

- Ale posłaliście ludzi na księżyc - odparła.

- Kto? - spytał. - Ja nie. Frank, czy ty posłałeś kogoś na księżyc?

Bernie?

- Nie posyłałem - odpowiedział Frank. Mały człowieczek zaśmiał

się.

- Ani ja, Wynn - powiedział. - Przynajmniej nic o tym nie wiem.

- Myślę, że pomyliła nas pani z kimś innym - powiedział

mężczyzna w środku. - Z Leonardem da Vinci lub Albertem

Einsteinem.

- Boże - powiedział mały mężczyzna. - Nie chcielibyśmy robotów za żony. Chcemy mieć prawdziwe kobiety.

- Odejdźcie i pozwólcie odejść mnie - powiedziała.

Stali tam, ciemniejsi od otaczającej ich ciemności.

- Joanno - powiedział Frank - jeśli masz rację i moglibyśmy robić tak fantastyczne i naturalne roboty, to nie sądzisz, że zbijalibyśmy na tym grubą forszę?

- No, właśnie - podchwycił środkowy mężczyzna. - Z takimi pomysłami bylibyśmy bardzo bogaci.

- Może i tak zrobicie - powiedziała. - Może to dopiero początek.

- O Boże! - powiedział. - Ma pani na wszystko gotową odpowiedź.

To pani powinna być adwokatem, a nie Walter.

Frank i mały mężczyzna zaśmiali się.

- No, chodź Joanno - powiedział Frank. - P-połóż to, co trzymasz, t-ten kijek, czy...

-- Odejdźcie i pozwólcie mi odejść! - zawołała.

- Nie możemy tego zrobić - powiedział stojący w środku

mężczyzna. - Dostanie pani zapalenia płuc albo potrąci panią

samochód.

- Idę do przyjaciół - powiedziała. - Za parę minut będę w ciepłym miejscu. Dawno bym tam była, gdybyście mnie... O Boże... -

opuściła gałąź i zaczęła rozcierać ramię. Przetarła oczy i czoło, trzęsąc się.

- Pozwoli nam pani udowodnić sobie, że się myli? - spytał

mężczyzna w środku. -- A wtedy zabierzemy panią do domu i jak

będzie trzeba, wezwiemy pomoc.

Spojrzała na jego ciemną sylwetkę.

- Udowodnić mi? - Nie wierzyła.

- Zabierzemy panią do klubu i...

- O nie.

- Chwileczkę, proszę mnie wysłuchać. Zabierzemy panią do klubu

i może go pani obejrzyć od A do Z. Jestem pewien, że w takich okolicznościach nikt się nie będzie sprzeciwiał. Zobacz, że jest...

- Za nic tam nie pójdę...

- Przekona się pani, że nie ma żadnej fabryki robotów -

powiedział. - Jest bar, pokój do gry w karty i parę innych pokoi.

Jest tam projektor, kilka zakazanych filmów i to cały nasz wielki sekret.

- No i automaty do gier - dodał mały człowiek.

- Tak, mamy parę automatów do gier.

- Nie weszłabym tam bez uzbrojonej straży, kobiet.

- Każemy wszystkim stamtąd wyjść - powiedział Frank. - Cały dom

będzie do twojej dyspozycji.

- Nie pójdę - powiedziała.

- Proszę pani - powiedział mężczyzna w środku.

- Wykazujemy maksimum wyrozumiałości, ale są pewne granice.

Jak długo będziemy tu jeszcze stać i konferować?

- Chwileczkę - powiedział mały człowieczek.

- Mam pewien pomysł. Założmy, że jedna z kobiet, którą uważa

pani za robota, skaleczyłaby się w palec i zaczęła krwawić. Czy to by panią przekonało? A może uważa pani, że zrobiliśmy roboty, w

których płynie krew?

- Na miłość Boską, Bernie - powiedział mężczyzna w środku, a

Frank zauważył: - Nie możesz kogoś ot tak sobie prosić, żeby się skaleczył.

- Czy pozwolicie odpowiedzieć jej na nasze pytanie? Co pani na to?

Czy to by panią przekonało? Gdyby się skaleczyła i krwawiła.

- Bernie...

- Pozwólcie jej, do cholery, odpowiedzieć. Joanna stała, patrząc i kiwnęła głową.

- Gdyby krwawiła - powiedziała - pomyślałabym, że jest

prawdziwa...

- Przecież nie poprosimy żadnej kobiety, żeby się specjalnie kaleczyła. Pójdziemy do...

- Bobbie by to zrobiła - powiedziała. - Jeśli to jest naprawdę

Bobbie. Jest moją przyjaciółką. Bobbie Markowe.

- Na Fox Hollow Lane? - spytał mały człowieczek.

- Tak - odparła.

- Widzicie? To dwie minuty stąd. Pomyślcie tylko. Nie będziemy musieli iść aż do Centrum ani zmuszać pani Eberhart, żeby szła tam, dokąd nie chce...

Nikt się nie odezwał.

- To chyba niezły p-pomysł - powiedział Frank. - Możemy porozmawiać z panią Markowe...

- Nie będzie krwawić - wątpiła Joanna.

- Będzie - powiedział mężczyzna w środku. - A kiedy to się stanie, zrozumie pani swój błąd i pozwoli się pani zabrać do domu, do

Waltera, bez żadnego sprzeciwu.

- Jeżeli będzie krwawić - zgodziła się - to tak.

- W porządku - powiedział, - Frank, biegnij naprzód, zobacz, czy jest w domu i wytłumacz jej, co

i jak. Zostawię tu swoją latarkę, kładę ją na ziemi. Bernie i ja

pójdziemy trochę naprzód, a pani niech weźmie latarkę i idzie za

nami w takiej odległości, w jakiej pani będzie się czuć bezpiecznie.

Ale proszę nie gasić latarki, żebyśmy wiedzieli, że idzie pani za nami. Zostawiam tu również

swój płaszcz, proszę go włożyć, bo

słyszę, jak szczeka pani zębami.

Nie miała racji i wiedziała o tym. Nie miała racji. Była zmarznięta, przemoczona, zmęczona, głodna i szarpana przez szereg

sprzecznych potrzeb. Między innymi chciało się jej siusiu.

Gdyby byli zabójcami, zabiliby ją. Gałąź nie stanowiłaby dla nich żadnej przeszkody. Trzech mężczyzn przeciwko jednej kobiecie.

Podniosła gałąź i przyglądała się jej, idąc powoli na obolałych

stopach. Rzuciła ją. Miała mokrą i brudną rękawiczkę oraz

zmarznięte palce. Zaciskała je i otwierała, wreszcie wsunęła dłoń pod pachę. Trzymała tak równo, jak mogła, długą ciężką latarkę.

Mężczyźni szli małymi kroczkami przed nią. Niski mężczyzna

miał brązowy płaszcz i czerwoną, skórzaną czapkę. Wyższy był w

zielonej koszuli i ciemnych spodniach, wpuszczonych do

brązowych butów. Miał rudawo-blond włosy.

Jego kożuch ogarniał ciepłem jej ramiona. Miał mocny, miły

zapach - zwierząt i życia.

Bobbie będzie krwawić. To zwykły zbieg okoliczności, że Dale

Coba pracował przy produkowaniu robotów w Disneylandzie, że

Claude Axhelm uważał się za Heniy'ego Higginsa, że Ike Mazzard

rysował swoje ładne obrazki. To przypadek, że wplątała się w to

szaleństwo. Tak, szaleństwo (- to nie jest katastroficzne -

powiedziała dr Francher z uśmiechem. - Jestem pewna, że mogę

pani pomóc).

Bobbie będzie krwawić, a ona wróci do domu i ogrzeje się.

Do domu, do Waltera?

Od kiedy przestała mu ufać? Kiedy nastąpiła między nimi pustka?

I czyja to była wina?

Przytył na twarzy. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła? Czy była zbyt zajęta robieniem zdjęć i pracą w ciemni?

W poniedziałek zadzwoni do dr Francher, pójdzie do niej i położy się na skórzanej kanapie. Trochę sobie popłacze i spróbuje znów być szczęśliwa.

Mężczyźni czekali już na nią na rogu Fox Hollow Lane.

Przyspieszyła kroku.

Frank stał w oświetlonych drzwiach domu Bobbie. Mężczyźni rozmawiali z nią. Odwrócili się do niej, gdy powoli szła ścieżką.

Frank uśmiechnął się!

- Zgodziła się. Chętnie to zrobi, jeśli to p-polep-szy twoje

samopoczucie.

Latarkę dała mężczyźnie w zielonej koszuli. Miał szeroką, zniszczoną twarz o grubych rysach.

- Poczekamy tu - powiedział, zdejmując z jej ramion kożuch.

- Ona nie musi tego... - zaczęła.

- Proszę pójść - powiedział. - Później mogłyby panią znów ogarnąć wątpliwości. Frank wyszedł na ganek.

- Jest w kuchni - oznajmił.

Weszła do domu. Natychmiast ogarnęło ją ciepło. Z góry

dochodził hałas głośnej muzyki rockowej.

Poszła korytarzem, rozprostowując bolące dłonie.

Bobbie stała w kuchni, w czerwonych spodniach i fartuchu z dużą stokrotką.

- Cześć, Joanno - powiedziała i uśmiechnęła się. Piękna Bobbie z dużym biustem. Nie, to nie był robot.

- Cześć - powiedziała. Oparła się o framugę drzwi.

- Przykro mi, że jesteś w takim stanie - powiedziała Bobbie.

- Przykro mi, że w nim jestem.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby się odrobinę skaleczyć w palec. Jeśli to ci pomoże się pozbierać.

Podeszła do stołu. Poruszyła się płynnie, pewnie i z wdziękiem.

Otworzyła szufladę.

- Bobbie... - powiedziała Joanna. Zamknęła oczy i ponownie je otworzyła. - Czy ty naprawdę jesteś Bobbie? - spytała.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała Bobbie z nożem w ręku.

Podeszła do zlewu. - Chodź tutaj - powiedziała. - Stamtąd nic nie zobaczysz.

Muzyka stała się znacznie głośniejsza.

- Co się tam dzieje na górze? - spytała Joanna.

- Nie wiem - powiedziała Bobbie. - Dave jest

tam z chłopcami. Podejź tu, bo nic nie zobaczysz. Nóż był duży i ostro zakończony.

- Utniesz tym sobie całą rękę - powiedziała Joanna.

- Będę ostrożna - powiedziała z uśmiechem Bobbie. - No, chodź. -

Skinęła na nią, trzymając duży nóż.

Joanna odsunęła się od framugi drzwi i weszła do nieskazitelnie

czystej kuchni, tak nietypowej dla Bobbie.

Zatrzymała się. Muzyka ma zagłuszyć mój krzyk, pomyślała. Ona

nie zatnie się w palec, tylko...

- No, chodź - nalegała stojąca przy zlewie Bobbie, kiwając na nią i trzymając w ręku ostry nóż.

To nie jest katastrofalne, pani doktor? Myślenie, że są robotami, a nie kobietami? Myślenie, że Bobbie mnie zabije? Czy aby na

pewno może mi pani pomóc?

- Nie musisz tego robić - powiedziała do Bobbie.

- Uspokoisz się wówczas - odrzekła.

- Po Nowym Roku idę do psychiatry. To mnie powinno uspokoić.

Przynajmniej mam taką nadzieję.

- No, chodź - powiedziała Bobbie. - Mężczyźni już czekają.

Joanna podeszła do stojącej przy zlewie, trzymającej w ręku nóż

Bobbie, która wyglądała tak normalnie - cera, oczy, włosy, ręce,

wznoszący się i opadający pod fartuchem biust - że nie mogła być robotem, po prostu nie mogła i tyle.

Mężczyźni stali na ganku z rękami w kieszeniach, wypuszczając na zimnie klęby pary z ust. Frank przytupywał w rytm głośnej

muzyki.

- Czemu to tak długo trwa? - spytał Frank. Wynn i Frank wzruszyli ramionami. Muzyka nadal grzmiała.

**- Zadzwoń do Waltera i powiem mu, że ją znaleźliśmy -
powiedział Wynn i wszedł do domu.**

- Weź kluczyki do samochodu Dave,a - zawołał za nim Frank.

ROZDZIAŁ III

Parking przed Centrum Handlowym był przepelniony, ale udało

**jej się znaleźć dobre miejsce w pobliżu wejścia. Dzięki temu oraz wspaniałemu ciepłu i
słodkiemu, wilgotnemu zapachowi, które ją**

otoczyły, kiedy wysiadła z samochodu, poczuła się mniej

przygnębiona zakupami, jakie musiała zrobić. Ale tylko trochę

mniej przygnębiona.

Ze sklepu wyszła pani Austrian trzymając w ręku papierową

**torebkę. Szła w jej stronę, utykając i podpierając się laską, a na jej bladej twarzy pojawił się
przyjazny uśmiech. Czy to było do niej?**

- Dzień dobry pani Hendry - przywitała ją pani Austrian.

Coś takiego, a jednak toleruje się tu czarnych.

- Dzień dobry - odpowiedziała.

- Ten marzec jest wyjątkowo łagodny, prawda?

- Tak - powiedziała. - A zapowiadał się znacznie chłodniejszy.

Pani Austrian zatrzymała się i popatrzyła na nią.

**- Już dawno nie była pani w bibliotece. Mam nadzieję, że nie
przerzuciła się pani na telewizję.**

- O nie, ja na pewno nie - zapewniła z uśmiechem. - Pracowałam.

- Nad następną książeczką?

- Tak.

- To dobrze. Proszę mi dać znać, jak tylko zostanie wydana.

Zamówimy jeden egzemplarz.

- Dziękuję - powiedziała. - Niedługo przyjdę do biblioteki, już prawie ją skończyłam.

- Życzę pani miłego dnia - pożegnała ją z uśmiechem pani

Austrian i poszła dalej, podpierając się laską.

A więc jeden egzemplarz miała już sprzedany.

Może była przewrażliwiona? Może pani Austrian była również oschła wobec białych, którzy sprowadzili się tu niedawno.

Weszła do sklepu przez automatyczne drzwi i znalazła pusty wózek. Przejścia były, jak zwykle w sobotę rano, zatłoczone.

Szła szybko, biorąc z półek to, czego potrzebowała, i odpowiednio manewrując wózkiem.

- Przepraszam. Przepraszam bardzo.

Nadal jej przeszkadzało to, że w powolny i ospały sposób robiły

zakupy, posuwając się naprzód jak gdyby to nie męczyło. Do

jakiego stopnia być białym? Nawet w wózkach miały wszystko

porządnie poukładane! Mogłaby kupić cały sklep, nim one

uporały się z jedną półką.

Podeszła do niej Joanna Eberhart. Wyglądała świetnie w obcisłym

jasnoniebieskim płaszczu. Miała ładną sylwetkę i z zaczesanymi

owalnie na boki ciemnymi włosami wyglądała piękniej, niż ją

sobie Ruthan-ne zapamiętała. Szła powoli i uważnie rozglądała

się po półkach.

- Witaj, Joanno - powiedziała Ruthanne. Joanna zatrzymała się i spojrzała na nią brązowymi oczyma, w oprawie gęstych rzęs.

- Ruthanne - powiedziała i uśmiechnęła się. - Witam, jak się masz? Miała pełne czerwone usta i idealną blad różową cerę.

- Dziękuję, dobrze - odpowiedziała Ruthanne z uśmiechem.

Natomiast nie muszę nawet pytać, jak ty się czujesz. Wyglądasz

wspaniale.

- Dziękuję - powiedziała Joanna. - Ostatnio zaczęłam bardziej o siebie dbać.

- To widać - powiedziała Ruthanne.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłam do ciebie.

- Nie szkodzi.

Ruthanne ustawiła swój wózek naprzeciw wózka Joanny, żeby zrobić przejście dla innych.

- Zamierzałam - powiedziała Joanna - ale miałam w domu tyle

pracy. Wieszjak to jest.

- W porządku. Ja też byłam zajęta. Już prawie skończyłam książeczkę. Jeszcze tylko główny rysunek i kuka mniejszych.

- Gratuluję - powiedziała Joanna.

- Dzięki. A co ty robiłaś? Zrobiłaś jakieś ciekawe zdjęcia?

- Nie. Nie zajmuję się teraz zbytnio fotografowaniem.

- Naprawdę? - spytała Ruthanne.

- Nie miałam wielkiego talentu i marnowałam zbyt wiele czasu,

który mogłam poświęcić na pożyteczniejsze rzeczy. Zadzwoń do

ciebie, kiedy uporam się z robotą - powiedziała z uśmiechem

Joanna.

- Co robisz oprócz prac domowych?

- Tak naprawdę to nic. Wystarczą mi zajęcia domowe. Kiedyś

wydawało mi się, że mam jakieś zainteresowania, ale już mi to

przeszło. Jestem szczęśliwa, moja rodzina także. A przecież to się liczy, prawda?

- Chyba tak - powiedziała Ruthanne. Spojrzała do wózków. W jej

wózku zakupy się przewalały, a u Joanny wszystko było

poukładane. Odjechała trochę, by nie tarasować Joannie drogi.

- Może wybierzemy się na ten nasz lunch, skoro już kończę

książeczkę.

- Może się wybierzemy - powiedziała Joanna. - Było mi miło znów

cię spotkać.

- Mnie też - odpowiedziała Ruthanne.

Joanna, uśmiechając się, poszła dalej, zatrzymała się, wzięła z

półki jakąś paczkę, obejrzała i włożyła do wózka. Poszła dalej

wzdłuż pólek.

Ruthanne stała, patrząc za nią, odwróciła się i poszła w

przeciwnym kierunku.

Nie mogła zabrać się do pracy. Przemierzała mały pokój tam i z powrotem. Wyjrzała przez okno na Chickie i Sarę, które bawiły się z dziewczynkami Cohanów. Przejrzała stos rysunków i stwierdziła, że nie są aż tak zabawne i udane, jak jej się wydawały.

Kiedy wreszcie zabrała się za kolejny rysunek Penny, była już prawie piąta.

Poszła do gabinetu.

Royal siedział, opierając o stoł nogi w niebieskich skarpetkach i czytał *Mężczyzn w grupach*. Spojrzał na nią.

- Skończyłaś? - spytał. Skleił sobie oprawkę okularów taśmą klejącą.

- Jeszcze nie - powiedziała. - Dopiero zaczęłam.

- Jak to?

- Nie wiem. Coś mi przeszkadzało. Czy możesz mi wyświadczyć przysługę? Skoro już się rozkręciłam, nie chciałabym przerywać

pracy.

- Kolacja? - spytał.

Kiwnęła głową. - Nie zabrałbyś ich na pizzę albo do McDonalda?

- Dobrze - powiedział i wziął ze stołu fajkę.

- Chcę to już wreszcie skończyć. Inaczej nie będę się cieszyć

naszym wspólnym weekendem.

Odłożył na kolana otwartą książkę i wziął ze stołu upychacz do

fajek.

Odchodząc, zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu? - spytała.

Pokręcił upychaczem w fajce.

□ Na pewno - powiedział. - Nie odrywaj się - Spojrzał na nią i

uśmiechnął się. - Nie mam nic przeciwko temu.

IRA LEYIN - autor powieści "Dziecko Rosemary", "Żony ze Stepford", "The Boys from Brazil", "A Kiss Before Dying", "This Perfect Day", "Silver".

Urodził się 1929 roku w Nowym Yorku. Studiował na

uniwersytetach w Iowa i Nowym Yorku. W latach 1953-55 służył w

Armii Stanów Zjednoczonych. Obecnie mieszka na Manhattanie

wraz z trzema synami.

Jest zdobywca Nagrody Edgara Allana Poe "Mystery Writers of America" w 1954 roku i Nagrody Specjalnej (Special Award) w

1980.

O jego twórczości mówi się, że jest połączeniem schludności i systematyczności z satanizmem, tajemnicą, przemocą i śmiercią.

Daje to w efekcie poczucie grozy i napięcia tak bardzo charakterystyczne dla jego powieści.

Nagle i częste zwroty akcji, nagromadzenie nowych, zaskakujących faktów sprawiają, że czytelnik czuje się bardzo niepewnie i ma poczucie ciągłego zagrożenia.

Ale chyba o to właśnie chodzi!